Stron 8 | Str. 3: „WIZYTY" | Cena 1 sh

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

Rok IV. | Londyn, niedziela 2 lipca 1950 | Nr. 27 (158)

MARIA WINOWSKA

JOANNA FRANCUSKA

NIE miałam zamiaru iść na tę kanonizację. Po prostu — wyznać muszę rumieniąc się ze wstydu — nie chciało mi się dnia owego aż tak wcześnie wstać... Wracam z Albano około 9, z błogą nadzieją, że przecież odeśpię parę zaległych nocy, aż tu, na progu niemal domu, telefon. Ktoś bardzo zacny zatroszczył się o mnie z daleka, ma oto bilet nie byle jaki, trybuna samego Eliasza Proroka, tuż przy konfesji. jak tu nie skorzystać?

Połykam haczyk i dziękuję. ‚Osioł' wierzga, ale to nic: azali Rok Święty nie jest rokiem pokuty i wielkich powrotów? Skruszonym sercem rozważam grzechy z całego życia, gdy około dwunastej nastawiam budzik na... czwartą.

Tak, na czwartą rano. Zdziwić się może tylko jakowyś skończony ignorant z zapadłej prowincji. My, Rzymianie, dobrze wiemy, że jeśli ktoś jest już tak leniwy, iż nie spędzi nocy pod arkadami Berniniego lub dla świeżości aury w sąsiedztwie wodotrysków, wstać powinien conajmniej o czwartej. Chlusnąć kubeł zimnej wody na zaspaną czuprynę i pognać, co koń wyskoczy.

Na ulicach rojno. Zakonnice w skomplikowanych i ucieszny nieraz kwefach drobią truchtem skromnie spuściwszy oczka. Dziewczątka pyzate z przeróżnych zakładów wychowawczych suną grzecznie gęsiego strzelając oczkiem. Reverendissimi przeróżnej tuszy ergo chyżości galopują środkiem jezdni, mnąc komżę pod pachą. Zaczem pomniejszy narybek płynie, płynie z falą.

Złocą się smukłe wieże Santa Maria Maggiore w perłowym brzasku. Oto niebo jest jak koncha różowa, zdobna w pierzaste chmurki. Na drzewach via Merulana kos przeciągle wydzwania pobudkę. Jak na komendę bucha klangor ptaszęcy, upojony wiosną. Skądżeż tyle ptaków śpiewaków w tym zapylonym Rzymie? — myślę sobie kłusując z zadartą głową. Że jaskółki rejwodzą jak krakowskie przekupki, to ich święte prawo na ruinach spisane, ale kosy? ale wilgi? ale... słowiki? W termach Caracalli aż zanoszą się od kląskania co noc...

Oto ‚Circolare Nera'. Najpopularniejsza, rzymska lokomocja, obliczona na wieczność tak jak wieczne miasto. Doskonała na siestę. Wejdziesz, uśniesz, chrapniesz, obudzisz się łagodnie i masz jeszcze dwa przystanki na przetarcie oczu. Z powodu, że ‚krąży', niczym Michał z bajki. Są nawet dosłownie takie dwa Michały, jeden duży, drugi mały, mianowicie circolare rossa, externa i circolare nera, interna Jedzie toto i jedzie, czasami stanie niewiadomo czemu (chyba poto, żeby konduktor mógł gnaty rozprostować), znowu jedzie i wkońcu... nawet dojeżdża.

Dzisiaj tempo ślimacze tłumaczy się nieco pokaźnym ładunkiem. Przecieram oczy: Azali śnię? Tramwaj cały mówi po francusku!

Dowiem się za chwilę od chudego harcerzyka, że zjechało pątników ze słodkiej Francji... 50 tysięcy! choćby nawet przesadził, to chyba niewiele, gdyż naprawdę Rzym, na przeciąg kilku dni, rozgadał się po francusku. Ko żyw, uważał za swój święty obowiązek asystować przy uroczystej kanonizacji dostojnej rodaczki, Joanny Francuskiej:: Jeanne de France. Przyjechało wiele biedoty, babinek w strojach przedpotopowych, młodzieży szkolnej, robotników i rolników, którzy oto wysupłali na pielgrzymkę oddawna ciułany grosz i obnoszą po świętym mieście rozanielone twarze.

Z Piazza di Risorgimento parę kroków od świętego Piotra. Cienkie zrazu strużki pątnicze zlewają się, rosną, suną ławą, biją falą o drewniane zapory. które mądrze regulują ruch. Duże tablice wskazują barwy poszczególnych kart i drogę dla ich posiadaczy. Gwardia szwajcarska wprawnym gestem rozwidla tłum ku poszczególnym, na ścieżaj otwartym bramom.

Od strony zakrystii luźniej i chłodniej. Z jasnożółtą kartą w ręku przechodzę jak piłka z rąk do rąk palcem wskazującym znaczących kierunek — aż ląduję szczęśliwie na łonie czy też mniej obrazowo na trybunie świętego Eliasza. Obsadzonej szczelnie. aczkolwiek...

Wkręcam się jak wrzeciono, nie oglądam zagniewanych wokół twarzy, dziękując Bogu, żem tuszy nieznacznej i siadam szepcąc w duchu: alleluja.

Ktoby sądził, że na trybunie proroka Eliasza są fotele, myliłby się. Także byłby w błędzie sądząc, że znajdzie krzesła. Podczas największych uroczystości święty Piotr najdemokratyczniej rozstawia zwykłe ławki. Bez oparcia i źle zheblowane, tak że wszystkie damy w nylonowych pończochach przewijają się drżąc. A szczęśliwy ten, kto na ławce takowej uszczknie dwadzieściapięć centymetrów kwadratowych i usiądzie zlekka półgębkiem! Stokroć szczęśliwy powtarzam, gdyż większość pątników po prostu — stoi. Sześć godzin pod rząd. A co najdziwniejsze, nie skarży się nikt. Jedna z najczęstszych uwag, jaką się słyszy po kanonizacji, to ‚Nie czułem (łam) nóg'.

Olbrzymia bazylika zapełnia się coraz szczelniej i szumi, jak rój. Coraz to jakiś wodzirej intonuje pieśń francuską, zrywając odzew tysięcy głosów: równy, zgrany, żarliwy. Włosi stanowią tu dzisiaj stanowczą mniejszość, oraz inne nacje. Dowiem się później, że pielgrzymi francuscy, doskonale zorganizowani, przybyli pierwsi i wzięli bazylikę szturmem.

Jakiś żółtodziób we fraku krąży z broszurami pod pachą. Nareszcie dowiem się dokładnie kim była Joanna francuska! Zagłębiam się w lekturze i czytam z coraz większym przejęciem. I widzę ją, widzę...

Brzydka. „Elle était contrefaite et d'une laideur repoussante" pisze La Servière. Mocniej i dobitniej nie sposób stwierdzić faktu, który zaciężył na życiu Joanny jak klątwa i stał się zawrotną odskocznią... Pierwszy to raz spotykam świętą, o której świadkowie i dziejopise twierdzą jednomyślnie, że była brzydka.

Brzydka i nie kochana. Może dlatego aż taka brzydka, że nie kochana? Chi lo sa? Miłość jest najradykalniejszym eliksirem piękności: dość pokochać brzydkie dziecko, by zaczęło zmieniać się w oczach...

Jak daleko pamięć jej sięgnie, nikt jej nie kochał. Ojciec, król Ludwik XI, zapisany w dziejach jako człowiek chytry, zawzięty mściwy, nie znosił jej wręcz. Darować jej nie może, że nie jest chłopcem i że taka szpetna. Gdy przypadkiem nawiną się królowi, guwernantka prędko kryje dziecko w fałdach sukni, żeby jej ojciec nie dostrzegł... Matka, Karolina sabaudzka, płacze na jej widok i rozpacza. By uniknąć scen, wyprawiają dziewczynkę pięcioletnią do zamku Linières, gdzie chowa się pobożnie aż do lat dwunastu.

Wówczas wkracza racja stanu. Szpetna czy nie, na szachownicy królewskiej musi być pionkiem. Dnia pewnego jawią się dziewosłęby na zamku Linieres, obwieszczając królewską wolę: Joanna zaślubi bratanka, Ludwika z Orleanu.

Z jakżeż ściśniętym sercem Joanna jedzie na zrękowiny! Ma lat dwanaście i wie, że jest brzydka: tyle, tyle razy jej to mówiono! A może jednak serce jej bije odrobiną nadziei? Cóż by się stało, jaki cud, gdyby Ludwik, z woli ojca jej przeznaczony, ją pokochał?

Pierwsze spotkanie. Czternastoletni narzeczony mierzy ją od stóp do głów, wydyma wargi i odwraca się na pięcie. ‚Takież straszydło mam zaślubić?'

Nie odmówił — oczywiście! Toż partii takiej się nie odmawia! Ale zato przez dwadzieścia lat będzie się mścił na nieszczęśliwej Joannie, że pycha i ambicja kazały mu ją zaślubić. Przy każdej okazji, publicznie, okazuje jej wstręt i pogardę. Gdy jest przy niej, odwraca głowę, nie odzywa się słowem.

Joanna kocha go, gdyż tak każe sakrament. Służy mu wiernie wówczas nawet, gdy wszyscy go opuścili. Dzieli z nim więzienie po nieudanym spisku, u brata swojego, króla Karola VIII wyprasza jego wolność...

Aż oto Karol umiera nagle, Ludwik tron dziedziczy. Pierwszym jego aktem królewskim jest prośba o unieważnienie małżeństwa: Joanna nie jest mu już potrzebna.

Nie brak świadków stwierdzających, że małżeństwo było z przymusu. Joanna nie broni swoich praw. W Rzymie panuje Aleksander VI, Borgia.

Prawnie o unieważnienie nie trudno. Joanna otrzymała w apanażu wielkie księstwo Berry, z miastem stołecznym Bourges.

Rozdział z dziejów Francji, znany ze szkolnych podręczników. Dziś, u świętego Piotra, odsłoni się nam Boży palimpsest: dzieje duszy.

Na pierwszy rzut oka dość się uzbierało, żeby Joanna miała prawo zamknąć się w smutku i żałobie i gorzknieć godnie przez długie lata, rozpamiętując doznane krzywdy. Inne są nad nią zamiary Boże!

Podręczniki szkolne nie notują faktu, który na życiu Joanny zaciężył decydująco: Gdy krótko po ślubie była na samym skraju rozpaczy, zjawił się na królewskim dworze, przez króla wezwany z dalekiej Italii, wielki pokutnik cudotwórca, Franciszek a Paulo. Wezwał go król Ludwik XI w nadziei, że zdrowie odzyska: nie wiedział, że świadczy tym wezwaniem największe dobrodziejstwo znienawidzonej córce.

Święty zna się na ludzkim cieście. Nie widzi, że Joanna jest brzydka, lecz dostrzega nieomylnie, z jak szlachetnego kruszcu Bóg ulał jej duszę. Biedne dziecko obija się o ściany zamku, jak zwierzątko w pułapce: czyż nie pora wytłumaczyć jej łagodnie, że Bóg poto zamyka nieraz wszystkie drogi, w prawo, w lewo, naprzód, w tył, żebyśmy dostrzegli jedyną możliwość wylotu w górę? Joanna siedzi u nóg staruszka i chłonie całą duszą każde jego słowo. Św. Franciszek a Paulo wtajemnicza ją powoli w umiejętność świętych.

Ziarno długo w ziemi tkwi, aż się zakłosi. Po latach poniewierki, szydersw, samotności jakżeż to się stało, że nagle gruchnęła po Francji wieść o Świętej Pani na Berry? W cichej szkole świętego Franciszka Joanna najsroższe swoje doświadczenia wymieniła na miłość.

Zrozumiała szaleństwo krzyża i dusza jej rozkwitła jak kwiat na wiosnę. Nie tylko dusza, przebóg, ale nawet ciało! Czemuż to teraz nikt nie widzi, że taka szpetna? Wyprzeźroczyła ją miłość, wie nareszcie, kto aż tak ją zazdrośnie ukochał. Wyłączył. Zachował...

Pod dotknięciem jej rąk goją się rany, chorzy odzyskują zdrowie. Jest bezgranicznie miłosierna i tak cierpliwa, jak tylko wielcy cierpię-

OJCIEC ŚWIĘTY O ZAGADNIENIACH SPOŁECZNYCH

Ojciec Święty przyjął na audiencji uczestników Międzynarodowego Kongresu Studiów Społecznych, odbywającego się we Fryburgu Szwajcarskim i wygłosił do nich ważne, zasadnicze przemówienie, poświęcone zagadnieniom społecznym. W przemówieniu tym Ojciec Święty ostrzegł przed pójściem katolickiego ruchu społecznego za daleko w skrajnych rozwiązaniach.

Ojciec Święty objaśnił, w jaki sposób katolicki ruch społeczny stworzył politykę społeczną, którą cechuje coraz dalej idąca ewolucja w kierunku zwiększania praw robotnika i w tym samym czasie podporządkowywania prywatnego właściciela narzędzi produkcji prawnym obowiązkom na korzyść robotników.

„Ci, którzy chcą kontynuować tę politykę społeczną — oświadczył — muszą zdać sobie sprawę, że istnieje w niej pewien kres. Ten kres jest osiągnięty, gdy klasa robotnicza z kolei zaczyna iść w ślady błędów kapitału, które polegały na odebraniu, zwłaszcza w dużych przedsiębiorstwach użytku narzędzi pracy z rąk właściciela prywatnego, czy to jednostki czy spółki, na to, by go powierzyć kierownictwu anonimowych, zbiorowych mas".

„To odpowiada mentalności socjalistycznej, ale musi budzić niepokój w każdym, kto zna podstawowe znaczenie prawa prywatnej własności, gdy chodzi o inicjatywę w planowaniu i o wzięcie odpowiedzialności w sprawach gospodarczych".

Papież stwierdził, że podobne niebezpieczeństwo rodzi się, gdy pojawia się przymusowy nakaz, by pracownikom dawano prawa gospodarcze wspólników, zwłaszcza, gdy wykonywanie tych praw, bezpośrednio lub pośrednio, dostaje się w ręce organizacyj, kierowanych przez ludzi spoza danego przedsiębiorstwa. Ani natura umowy o najem pracy, ani natura przedsiębiorstwa koniecznie i same w sobie nie zawierają tego rodzaju uprawnienia.

„Jest rzeczą bezsporną, że robotnik najemny, oraz pracodawca, są jednakowo podmiotami, a nie przedmiotami gospodarki zbiorowej. Nie ma mowy o negowaniu tej równości. Wręcz przeciwnie, jest to zasada, którą polityka społeczna już w życie wcieliła ...Ale tym niemniej, w prywatnym prawie, regulującym zwykłą umowę o najem pracy, nie ma nic, coby się tej fundamentalnej równości sprzeciwiało".

Obok tego, Ojciec Święty opowiedział się przeciw takiej polityce uprzemysłowienia, któraby zagrażała rolnictwu, oraz przeciw jednostronnemu pokładaniu zaufania w „państwo opiekuńcze" (Welfare State).

Wskazując następnie na niebezpieczeństwo bezrobocia, wiszące stale nad tymi krajami, Papież wskazał na konieczność ochrony godności i bytu rodziny, jako jedności moralnej, prawnej i ekonomicznej.

Następnie Pius XII zajął się w swym przemówieniu krajami, które obecnie wkraczają na drogę uprzemysłowienia. Pochwalił wysiłki władz kościelnych, zmierzające do zaoszczędzenia ludności, żyjącej dotąd w systemie patriarchalnym przeżyć spowodowanych błędami liberalizmu ubiegłego stulecia. Przestrzega jednak przed uprzemysławianiem zbyt pośpiesznym, przed tworzeniem nowych działów przemysłu, narażonych na kryzysy; a także przed eksploatacją niszczącą zasoby gleby i podglebia. Przestrzegając następnie przed przesadną, wiarą zarówno w automatyzm rynku światowego, jak i w Opatrznościowe państwo Papież powiedział: „Nie trzeba szukać rozwiązania ani w czysto pozytywistycznej teorii opartej na neokantowskiej krytyce praw rynku ani na równie sztucznym formalizmie „pełnego zatrudnienia".

tnicy. Ludzie lgną do niej, jak muchy do miodu, zwłaszcza... nieszczęśliwe kobiety.

Jest najwierniej oddaną służką Matki Bożej, której życie naśladuje, i pokorę, i prostotę. Na jej cześć zakłada zgromadzenie Zwiastowania, les Annonciades. Co więcej — i tu jej przedziwna aktualność — ‚Ligę Pokoju‘ dla świeckich, co by zwalczali wojny i niesnaski prawem Miłości i Przebaczenia.

Jednomyślny dekret ludu ukanonizował ją zaraz po śmierci: Umarła mając lat czterdzieści. Grób jej zasłynął cudami — jednym z pierwszych, który go nawiedził ‚z płaczem wielkim i żalem‘ był jej małżonek niewierny.

Proces kanonizacyjny nieraz był wznawiany: bardzo leżał na sercu naszej Marii Leszczyńskiej, która czciła gorąco Joannę. Postulatorem przed wojną był kardynał Pacelli: fakt ten przyspieszył niewątpliwie dzień dzisiejszy, który wreszcie rozgłosi urbi et orbi imię nowej świętej. Przedziwne odwety Boże! Za tyle wzgardy i poniżenia, tyle radosnej chwały...

Patrzę na zegarek: już ósma. Zamknięto bramy. Oklaski — cichsze niż wtedy, gdy jest więcej Włochów — zwiastują zbliżanie się orszaku papieskiego.

Ciągną długo, powoli, śpiewając litanię do wszystkich Świętych. Na czele gwardia szwajcarska, dalej audytorzy świętej roty, penitencjarjusze, opaci, biskupi, kardynałowie, przetkani mnóstwem pomniejszego narybku. Wzorzysty wąż mieni się purpurą i fioletem, karmazynem i złotem. Przypomina mi się werset psalmu: omnis gloria eius *ad intus*.*) Pokutna czerń sutan i habitów jest do zewnętrznego użytku, ilekroć Kościół wstępuje w progi swego mistycznego współżycia z Chrystusem, stroi się z wytworną zalotnością zakochanych, nie żałując barw ni świateł. Jest w tym przepychu samorzutnym jakiś śliczny humanizm, składający hołd Bogu-Stwórcy ze wszystkiego, co tak piękne wyszło z Jego rąk: Benedicite omnia opera Domini Domino.

Chłopięta w koronkowych komeżkach Capelli Sykstyńskiej już zajęły miejsca, na lewo Konfesji, zadzierają wdzięczne główki i świdrują przechodniów błyszczącymi ślepkami. Dzieci tutejsze są tak śliczne, że napatrzyć się im nie mogę.

Ciągnie orszak rozmodlony wśród ludzkiego mrowia. Proszę zgadnąć, kto dziś należy do klasy jak najbardziej uprzywilejowanej? Kto samym faktem swojej, powiedzmy, barwy, przedziera się momentalnie na najlepsze miejsca pod osłoną jakiegoś dwornego ‚cameriere di Sua Santita‘? Kto stanowi przedmiot najżywszych zainteresowań, największej atrakcji?

Murzyni.

Przybyło ich mnóstwo z Francji zamorskiej, d‘Outremer, i to nie byle jaka ‚hołota‘, ale same książątka, królewiątka, przywódcy klanów, arystokracja. Przywdziali stroje najuroczystsze i lokalne, które budzą powszechną sensację. Tudzież lekkie zakłopotanie świątobliwych prałatów, którzy mają sobie zleconą pieczę nad dobrymi obyczajami pątników. Niechby jakaś lady amerykańska zjawiła się w tak zasadniczym dekolcie i sukni bez rękawów jak ta oto murzyńska pani, stąpająca jak gazela w zwiewnym stroju wśród szelestu i klekotu mnóstwa zausznic, naszyjników, bransolet... Albo ten królik w złotej koronie z niedbale na lewe ramię narzuconą opończą, kóra odsłania po prawej stronie pyszny, błyszczący, hebanowy tors! Pewien audytor świętej Roty, skory do żartu, pyta cichcem jednego ze świątobliwych stróżów obyczajności, czy też wypada paradować w tak zredukowanych strojach? Na to ów, z iście włoską chytrością: ‚C‘e tanto nero che non si vede‘, powiada, — takie to czarne, że nie widać‘.

Faktem jest, że Papież darzy szczególnymi względami te swoje zamorskie dzieci, że zabronił stanowczo molestować ich mistrzom ceremonii watykańskich że zostawia im najzupełniejszą swobodę w stosowaniu własnych zasad etykiety. Śledzę spod oka królika w koronie, podczas uroczystości. Ma twarz skamieniałą ze wzruszenia, oczu nie odwraca od konfesji i modli się tak, jak chyba niewielu białych.

Lecz oto srebrne trąby z wysokiego ganku zwiastują zbliżanie się Papieża. Siedzi na Sedia Gestatoria i kłoni się coraz to na prawo, na lewo, znacząc nad tłumem przeźroczystą ręką znak krzyża. W twarzy ściągłej i żółtobladej gorej ciemne, podkrążone oczy. Wydaje się zjawą z innego świata, duchem do ostatnich granic odcieleśnionym. Kto zna rozkład dnia Piusa XII, od 5 rano do dwunastej, pierwszej, drugiej w nocy, ten nadziwić się nie może jak ten starzec 74-letni może podołać tak nieludzkiej mordędze. Przechodząc placem świętego Piotra późno w noc wciąż widzi się światełko w drugim oknie przedostatniego piętra w prawym skrzydle Watykanu! Domownicy Papieża opowiadają w sekrecie, że często, bardzo często znajdują rano łóżko jego — nietknięte.

Dekret kanonizacyjny poprzedza uroczyste ‚Veni Sancte Spiritus‘, poczym Papież głosem mocnym, bardzo wyraźnie i powoli, orzeka nieomylnie, że Joanna Francuska zaliczona jest w poczet świętych. Następuje dziękczynne ‚Te Deum‘ i kazanie Ojca świętego, po łacinie, uwydatniające świętość i osobliwą aktualność Joanny.

Ta bowiem jest racja — i papież podkreślał to nieraz z wielkim naciskiem — która skłania Kościół do wyróżnienia *pewnych* świętych wśród natłoku turba magna tych — którzy codzień niebo zdobywają szturmem. Dzięki Bogu jest stokroć więcej świętych w Kościele, niż ukanonizowanych! Wpośród tego mrowia Kościół tych wybiera, którzy mają nam coś osobliwego do powiedzenia. Jak wkrótce Maria Goretti dziewczętom całego świata. Jak Wincenty Strambi — biskupom. Cóż zaś powie nam Joanna Francuska? To samo, co nasz Maksymilian Kolbe: ‚że trudna świętość pod przewodnictwem Matki Bożej staje się łatwą. Oto sekret tej najboleśniej wypróbowanej. Od dziecka nauczyła się iść śladem tej, którą Kościół zowie Królową wszystkich świętych. Oddała się jej w ręce, złączyła z nią najściślej, podpatrzyła tajemnicę jej pokory, posłuszeństwa, prostoty w warunkach najtrudniejszych, wobec planów Bożych krzyżujących zda się wszystkie szanse uświęcenia. Dla Joanny programem świętości jest oddanie bezgraniczne w ręce Matki Najświętszej. Wyprzedziła o dwa wieki Grignon de Montfort. Dziś zaś stoi z całym mnóstwem świętych u rozdziału wód: ‚miłość Matki Bożej — powie Papież francuskim pielgrzymom — jest dziś bardziej niż kiedykolwiek kamieniem probierczym przynależności do Chrystusa, dzieli tych co są z Nim od tych, co są przeciw Niemu...‘

Po kanonizacji Papież odprawił uroczystą Mszę. Wielką sensację podczas ofertorium wzbudził pochód z symbolicznymi darami. Kardynałowie w asyście szambelanów papieskich i „gentiluomini“ niosą papieżowi siedzącemu na tronie świece z wizerunkiem nowej świętej, dwa bochny chleba na srebrnych miskach, dwa antałki wody i wina i trzy klatki: z parą gołąbków, turkawek oraz innych, pomniejszych ptaszków.

Zwyczaj ten sięga zamierzchłych czasów. Nie trudno rozeznać symbolikę chleba i wina, ale co znaczą ptaszki? Różnie tłumaczą uczeni. Scholastycy snują nader misterne interpretacje. Najpopularniejsza widzi w gołębiach symbol miłości i niewinności, w ptaszkach leśnych — które po ceremonii wypuszcza się na wolność — znak wyzwolenia: ‚laqueus contritus est et nos liberati sumus...‘ Takim wyzwoleniem jest dla chrześcijanina śmierć czyli wtóre narodziny. Liturgia nie mówi inaczej o śmierci świętych jak ‚Dies Natalis‘: Urodziny.

Uroczystym błogosławieństwem „Urbi et Orbi“ kończy się papieska Msza. Kto żyw ciśnie się ku balustradom, odgradzającym puste przejście, którym przepłynie za chwilę Sedia Gestatoria. Panie wyjmują charakterystyczne lusterka, panowie próbują akrobatycznych łamańców, cokoły kolumn i pilastrów oblepione są wyrostkami w chwiejnej równowadze, byle wykusz staje się lożą. Frenetyczne oklaski i okrzyki: „vive le Pape“ zwiastują zbliżanie się papieskiego orszaku. Słońce południowe oświetla jasno hieratyczną postać i tę rękę niezmordowanie błogosławiącą. Przy bramie staje sedia gestatoria i papież raz jeszcze, szerokim gestem, błogosławi tłumom, tak jak gdyby do serca chciał przygarnąć świat.

Przy pięciu bramach tłok nieopisany. Zmęczenie, dotąd szachowane napięciem, rozładowuje się nagle i szwajcarzy coraz to muszą hamować tłum rozgorączkowany okrzykami: piano, piano. Pięciu strugami płynie na olbrzymi plac, podobny falującemu morzu.

Czekam na wolniejsze przejście przy konfesji i myślę o sensacyjnych odkryciach dotąd nie opublikowanych, w podziemiach bazyliki. Grób świętego Piotra, nad wszelką wątpliwość zidentyfikowany, przecina raz na zawsze dyskusje archeologów nad miejscem stracenia książęcia apostołów. Obok grobu najcenniejsze pamiątki z pierwszego wieku, zasypane przy budowie pierwszej bazyliki, cmentarz chrześcijański sąsiadujący z cmentarzyskiem pogańskim... Nie wyprzedzajmy wszelako oficjalnego orzeczenia uczonych. Fachowcy odpowiadają stale z tajemniczą miną: „Jesteśmy sami zaskoczeni wykopaliskami“. Raz jeszcze fakty potwierdzają nieomylność tradycji, która przez dziewiętnaście wieków uporczywie powtarza, że tu właśnie Piotr złożył Panu świadectwo największej miłości.

Maria Winowska

*) *Wszystka jej chwała wewnątrz (słowa odnoszące się do Kościoła, Oblubienicy Chrystusa)* RED.

ADRIAN CHALIŃSKI

WALKA O DUSZĘ ROBOTNIKA

KAZANIA wielkopostne O. Michała Riquet, S. J. w katedrze Notre Dame w Paryżu są bezwątpienia najgłębszymi krasomówczymi naukami, jakie można usłyszeć. Górują one formą i duchem nad tym, co sie zazwyczaj słyszy i odbijają nader korzystnie na tle oficjalnej paplaniny w parlamencie i przemówień, płytkich choć tak nieraz zgrabnych ministrów i polityków. O. Riquet, zwany przez „burżuazję“ „czerwonym proboszczem“, jest jednym z tych zjawisk tutejszego życia religijnego, które daje na przyszłość pewne nadzieje. Siłą jego jest, że nie idzie w szerz, ale w głąb, że ogranicza się do elity, mogącej, w danym razie, porwać innych, obojętnych czy niewierzących.

Ciekawa to postać ten O. Riquet: syn dekoratora towarzystwa Wagonów Sypialnych we Francji, urodził się w r. 1898, w dzielnicy studentów i artystów - Montparnasse. Wśród nauczycieli jego był również Jacques Maritain. Podczas pierwszej wojny światowej O. Riquet w szeregach armii zyskuje wyróżnienie za odwagę. W czasie drugiej wojny pełni obowiązki adiutanta. Pod Saint-Saulge dostaje się do niewoli niemieckiej. Powróciwszy do kraju organizuje sieć oporu, pomaga lotnikom alianckim w ucieczce. W końcu wpada w ręce „Feldgendarmerie“ i wysłany zostaje do Dachau i Mauthausen. W tym ostatnim obozie styka się z komunistami, poznaje ich psychologię, zgłębia program, filozofuje z nimi i dyskutuje. A gdy armia gen. Leclerc zbliża się do Mauthausen, Riquet jak wielu innych, oczekuje już tylko śmierci albo zbawienia, gdyż siły ich są już na wyczerpaniu.

— Generał Leclerc jest osobą, którą poza papieżami Piusem XI i Piusem XII zrobiła na mnie największe wrażenie! — oświadcza kiedyś O. Riquet. — Powróciwszy do Paryża w r. 1945 były więzień, z ogoloną głową, mając na sobie jeszcze więzienne ubranie, przemawia przed tłumami innych więźniów, którzy co dopiero wrócili do kraju. W Chaillot zgromadziło się wtedy 150.000 ludzi. Słucha go również ówczesny arcybiskup Paryża, kardynał Suhard, i porwany jego wymową, powierza mu dostojną kazalnicę w Notre Dame. O. Riquet staje się następcą świetnych mówców: O. Janvier, który przez 21 lat pełnił te obowiązki, O. Sanson, O. Baudrillart, Pijard de la Boulaye, Chevrot, Panici. — Ale jest to kaznodzieja istotnie wyjątkowy: wyjątkowy pod względem zdolności wymowy, rozumowania, jak również jeśli chodzi o ujęcie kazań. Czuje się w nim byłego więźnia, w tym najszlachetniejczym znaczeniu tj. człowieka; który cierpiał i starał się z cierpienia wynieść duchową naukę. Czuje się też w jego słowach zrozumienie dla współczesnych wydarzeń, najlepszą wolę pogodzenia wiary z dzisiejszymi zagadnieniami, poszerzenia do granic możliwości poglądów na pewne zjawiska. Pozostając wiernym religii i Kościołowi O. Riquet, niby dobry ojciec rozumiejący źródła przewiny swych dzieci, wyciąga rękę do błądzących.

„COGITO ERGO SUM“

Gdy porównuję kazania księży francuskich z tymi, które słyszałem w Polsce, uderza mnie zawsze ta pewna „świeckość“ tych pierwszych. Starają się one trafić do przekonania słuchaczy rozumem, starają się im wytłumaczyć „po dobremu“ pewne sprawy, nie uciekając się do „autorytetu“. Ton tych kazań możnaby nazwać „demokratycznym“ a nawet parlamentarnym: coś jest prawdziwe nie dlatego, że tak powiedział taki czy inny doktór Kościoła, lecz dlatego, że takie a takie logiczne dowody na to wskazują. Każdy naród ma takich kaznodziei i taką argumentację, jaką sobie sam wyrobi: Francuzi, należący w wielu (nie wszystkich zresztą) dziedzinach do niezwykle trzeźwych narodów, szukają ostoi w rozumie. Wpływ Descartes jest tu wybitny a raczej nie tyle jego wpływ ile duch, z którego narodziły się jego rozumowania. „Cogito ergo sum“ oto naczelna zasada również i dziś.

Naturalnie, że to stanowisko nie jest pozbawione słabych stron. Jest ich tutaj nawet bardzo wiele. Brak tego entuzjazmu dla wiary, tej niezłomnej pewności, która tworzy męczenników. Nie ma tego szlachetnego ognia, jaki ożywia Hiszpanów, Polaków, Irlandczyków. Nie ma też tego dziecięcego oddania się opiece Boskiej, jaka tylokrotnie ratowała narody w klęskach. Religia jest nieco wyrozumowana, nieco sztywna, jest kwestią tradycji. Nic też dziwnego, że w takich środowiskach i w takich czasach, O. Riquet przekonywa swych słuchaczy argumentami rozumu i nauki. Horyzonty jego są niezwykle szerokie: z łatwością wnika w teorię Marxa jak Jana - Pawła Sartre‘a, twórcy słynnego „egzystencjalizmu“, których obu rozumie i zwalcza, oczywiście, ale z umiarem i spokojem urodzonego polemisty.

Ma zresztą rację: jak można przekonać ludzi inaczej jak rozumem, skoro nie działają na nich inne czynniki? Gdy serca ich są jałowe, chłodne, gdy są przeżarci obojętnością? Do każdego trzeba przemawiać jego językiem.

„STARSZA CÓRKA KOŚCIOŁA“

Niejako na urągowisko określenia „starsza córka Kościoła“ dzisiejsza Francja jest krajem najmniej katolickim w Europie środkowej. Według obliczeń duchowieństwa zapewne jedna czwarta ludności przyznaje się oficjalnie do wiary katolickiej, reszta jest albo wroga albo obojętna. Ilość dzieci niechrzczonych wogóle jest olbrzymia, śluby przeważnie zawierają się przed „merem“. Ale i ta strona tutejszej obyczajowości nie jest prosta: są rodziny niewierzące, które ochrzczenie dziecka uważają raczej za okazję do urządzenia przyjęcia niż obowiązek lub akt o ważności religijnej. I stąd nieraz, chrzest (i oczywiście sute potem przyjęcia) ma miejsce w rodzinie niewierzącej.

Oczywiście, że źródłem tego stanu rzeczy jest najprzód rewolucja francuska, która, choć się wydarzyła 170 lat temu, daje się wyczuć po dziś dzień w wielu dziedzinach życia duchowego.

Dalszym powodem jest polityka republiki przez 80 lat istnienia, która doprowadziła nie tylko do rozdziału państwa od Kościoła, ale zepchnęła wiarę do rzędu „akcesoriów“ zupełnie nieobowiązujących.

KOŚCIOŁKI W „CZERWONEJ PERYFERII“

Wobec takie stanu rzeczy kler francuski nie ma łatwego zadania. W każdym narodzie znajdują się „antidota“: przeciwko obojętności religijnej mas występuje do walki żarliwość nielicznej ale cennej elity, przeciwko lekceważeniu wszelkiej wiary zapał jednostek. I jakże mogłoby być inaczej! Gdy na każdym kroku pomniki głoszą wielkość tej prawdziwej dawnej Francji, która zdobywała kontynenty dla kultury i wiary, prowadziła wyprawy krzyżowe, dała tylu świętych, czyż patrioci nie muszą dążyć do wykrzesania iskry Bożej z swych rodaków? I na tym odcinku krzewienia spowrotem wiary katolickiej, ewangelizacji niejako okolic zupełnie zaniedbanych, księża francuscy mogą być istotnie przykładem dla wielu narodów.

Wielką pracę, którą należy nazwać misyjną na peryferiach Paryża, owej ‚banlieu rouge“, gdzie wiara i jej reprezentanci są „czerwoną płachtą na byka“, podjął jako pierwszy ksiądz kardynał Verdier 18 lat temu. Wielki ten patriota, znany z pierwszej wojny miał godnego następcę w X. kardynale Suhard, zmarłym rok temu oraz w następcy tegoż obecnym arcybiskupie Feltin. Praca to olbrzymia i walcząca z trudnościami finansowymi: w różnych miejscach tej peryferii, — w Nanterre, Clamart, Suresnes, Près St. Gervais, Duplessis itd. — powstają kościółki i kaplice, często... drewniane! Ten pierwotny materiał budowlany jest niejako symbolem tej misyjnej działalności: dusze ludzi XX wieku, jak ongiś dusze pogan, poznają Boga w tych prymitywnych kościółkach. Wyniki są pocieszające: w r. 1949 - 50 wzniesiono aż pięć takich świątyń, dalsze są w przygotowaniu. Równocześnie arcybiskupstwo i związane z nim instytucje duchowne dają ludności bezrobotnej pracę: zyskali oni w ten sposób ponad milion godzin pracy. Nie dość na tym: kler francuski, podobnie jak O. Riquet, wie, że trzeba iść „w masy“. Stąd istnieje tutaj spora ilość duchownych, zwłaszcza zakonnych, którzy pracują jako zwykli robotnicy, niosąc słowo Boże do warsztatów, fabryk, do ciemnych nieraz baraków. Czytelnicy pamiętają, że sporo wrzawy narobił proces takiego księdza- robotnika, który był zmuszony skarżyć swego „patrona“ za wstrzymanie mu należnej zapłaty.

„KUPCZĄCY W ŚWIĄTYNI“

Nie jest to napewno pierwszy konflikt pracującego z kapitałem, w którym słuszność jest po stronie robotnika. Burżuazja francuska daleka jest jeszcze od zrozumienia współczesnych czasów i z małymi wyjątkami kieruje się egoizmem. Ciekawe jest zjawisko, że ludzie ci znacznie bardziej jeszcze niż markizowie dworu wersalskiego za Ludwika XVI nie doceniają sytuacji, uważając, że wszystko „jakoś się ułoży“. Dobrobyt, uroki wykwintnego życia, złudzenie, że Francja jest nadal mocarstwem sprzed 1914 roku, w końcu brak wpływu religii i mentalność wojennego „geszefciarstwa“ czynią z tej warstwy czynnik poważnie szkodzący krajowi. Zgodnie z opinią licznych Francuzów, nie Moskwa tworzy komunistów francuskich, ale własna burżuazja! Niedwuznaczne też stanowisko zajmuje wobec tych zagadnień kler francuski: właśnie ostatnio kilku biskupów wydało listy pasterskie nawołujące kapitał do poczynienia wszystkiego, aby zapewnić robotnikom życie, odpowiadające ludzkiej godności. Uczynił to też m.in. w słowach kategorycznych biskup Nancy, ks. Lallier, mówiąc w swym oświadczeniu, że „zmniejszenie siły kupna, trudności życia, a nawet nędza niektórych są faktami rzeczywistymi. Dlatego też Kościół jest po stronie robotników, aby domagać się dla nich życia bardziej ludzkiego zarówno pod względem materialnym jak duchowym“. Tak, prawo głosowania do parlamentu nie jest i nie powinno być jedynym przywilejem demokracji...

Mimo tych wszystkich istotnie ciemnych stron nie należy zapominać, że naród ten, w swych najcięższych chwilach, umiał wykrzesać ze siebie istotnie iskrę Bożą. Oby do zrozumienia wartości wiary nie musiał dochodzić przez katastrofy, lecz na niej właśnie zbudował swą przyszłość.

Adrian Chaliński

HERMINIA NAGLEROWA

WIZYTY

(Fragment powieści „Sprawa Józefa Mosta”)

OD dłuższego czasu zauważyła Jadwiga, że Lula nie zjada swojej porcji chleba. Kromka, niekiedy dość duża, leżała na sienniku, nie odróżniając się kolorem, tak samo brudno szarym. Przytrzymując wzrokiem grudkę chleba, nie zapobiegała jednak Jadwiga jej nagłemu znikaniu. Nie wiadomo, kiedy i jak przepadała. Jadwiga, rzucając podejrzenie na Tolę, oskarżała ją w duchu o korzystanie z praw przyjaźni.

— Taka to i przyjaźń — drwiła — podjadać tę chorą bidusię, zamiast zmuszać ją do jedzenia.

Powoli, niemal czając się, zsunęła się Jadwiga z łóżek na sienniki. — Przyszłam w odwiedziny — powiedziała przymilnie. — U której z pań dziś herbatka popołudniowa?

‚Elegantkom‘ podobał się żart:

— Prosimy do nas! Mamy właśnie doskonały tort lincki z ‚Ziemiańskiej‘.

Zaraz jednak zaczęły się sprzeczać o to, gdzie były najlepsze ciastka w Warszawie: w ‚Ziemiańskiej‘, u ‚Loursa‘, u ‚Semadeniego‘ czy w ‚Szwajcarskiej‘. Irena po śledztwie łatwo się unosiła, chcąc przynajmniej w sprzeczkach z Wandą postawić na swoim, skoro ‚tam‘ w niejednym musiała skapitulować.

Ponieważ spierające się siedziały daleko od upatrzonego kawałka chleba, Jadwiga pogardziła tortem, z jakiejkolwiek pochodziłby cukierni. Wolała przysunąć się do Hanki i Danusi, chociaż dziewczęta nie podjęły żartu i nie zapraszały ‚na herbatkę‘. Jadwiga rozsiadła się szeroko jak na kanapie, wepchnęła się w głąb, ale jeszcze nie było jej dość wygodnie, bo rękami podgarnęła pod siebie słomę. Plotła przy tym trzy po trzy, jak gdyby naprawdę była na wizycie.

Dziewczęta, porozumiawszy się spojrzeniami, naśmiewały się z Jadwigi, zachowującej się trzpiotowato jak podlotek. Uspokoiła się wreszcie i jakby zastygła na swoim wygodnym siedzisku. Lewą rękę zwiniętą w pięść ułożyła na sienniku i tylko czekać, kiedy panna Jadwiga zaproponuje zabawy towarzyskie w rodzaju: ‚para nie para‘, albo ‚jaki fant mam w ręce?‘. Wydawała się dziewczętom nie tylko śmieszna, ale nudna. Chcąc się jej pozbyć, Hanka zapytała:

— Czemu to mamy zawdzięczać odwiedziny panny Jadwigi Bażewskiej?

Jadwiga spłonęła i wyjąkała coś bez sensu. Pomyślała bowiem, że mając już chleb, powinna coprędzej odejść, zanim Tola się spostrzeże. Czuła oddech tej dziewczyny na swoich plecach, słyszała, jak się porusza i coś cicho pogaduje do Luli. Jadwiga nie dowierzała jednak swoim nogom. Po dokonanym czynie, była jak sparaliżowana. Kiedyś widziała w kinematografie ‚Nędzników‘. Chłopak ukradł ze straganu bochenek chleba i ludzie rzucili się w pogoń. Biegł, jak sarna, a mimo to, dogonili, ujęli...

Przypomniawszy sobie tę emocjonującą scenę, Jadwiga myślała dalej o całym, dużym obrazie. Jean Valejean poszedł za kradzież chleba do więzienia i na galery. Zatem odwrotnie niż ona, która ukradła, — nie bochenek wcale tylko kruszynę, — będąc już w więzieniu. Inna kolejność rzeczy, inna sprawa. Chyba to wspólne: że ona i ten chłopak kradli z głodu.

Zawsze wzruszała się losami Jean Valjeana, ale w tej chwili współczucie ogarnęło ją, jak łaska. Krzywda Jean Valjeana rozgałęziła się w niej, wrastała w nią. Jadwiga zatraciła na moment poczucie rzeczywistości. Odwołał ją z powrotem głos Danki:

— Czy Lula zjadła dziś cały chleb? Głodna jestem, aż mi w brzuchu ‚kruczy‘. Gdzieś tu powinien być kawałek. Może panna Jadwiga na nim siedzi?

Jadwiga musiała wreszcie wstać. Ulżyło jej, że nie Tola, tylko Danka zjadała chleb Luli. Miała zatem Jadwiga do tego chleba takie prawo, jak Danka. Wróciwszy na swoje miejsce, nieznacznie wsunęła chleb do węzełka z rzeczami. W nocy, kiedy kobiety usnęły, ukryta pod kocem spożyła dwa, trzy kęsy. Tyle tylko tego było, ale smakowało lepiej niż wszystko, co Jadwiga kiedykolwiek jadła w życiu. Chleb nie zgorzkniał od wyrzutów sumienia, ponieważ wcale ich nie doznawała. Modląc się potem, gorąco dziękowała Bogu za te dwa, trzy dodatkowe kęsy.

Wizyty Jadwigi u dziewcząt powtarzały się niekiedy po parę razy dziennie. Z czasem Hanka i Danusia przywykły do tego i śmieszność Jadwigi nie prowokowała do złośliwości tylko do wesołych, nieszkodliwych żartów. Jadwiga przyjmowała dobrotliwie drwiny z długiego i nieco skrzywionego nosa. — Nie był taki szpetny — mówiła — ale tu, w więzieniu każda skaza urody uwidocznia się z powodu wychudzenia i zanikania mięśni. Gdyby można zjeść coś dobrego, ba — gdyby można byle czym najeść się do syta! — Dziewczęta zgadzały się z Jadwigą: — Jeść, jeść! — Zaraz też prosiły, żeby opowiadała o potrawach, o smakołykach. Uczyły się przepisów, powtarzając je kilkakrotnie dla utrwalenia w pamięci: ‚Pół kg. masła, szklankę cukru-pudru, dwa żółtka utrzeć do białości...‘

Wkrótce zaczęły Jadwidze mówić o sobie. Dobrze jest opowiadać komuś o tym, co kiedyś zdarzyło się miłego albo przykrego. Dziewczęta, nawiązawszy do dawnych, najdawniejszych spraw, niespostrzeżenie „odczepiły się“ od sprawy Józefa Mosta. Starały się być uprzejme, dobierały słów w miarę ozdobnych, modelowały głos, aby brzmiał przyjemnie i przekonywująco. Były znowu dobrze ułożonymi pannami.

Zaczęło się od wyznań raczej nieosobistych, od tematów improwizowanych na rzecz samej rozmowy. O książkach, teatrze, filmach można było mówić od razu, bez przymusu, bez przezwyciężania wewnętrznego oporu. Sądy o dziełach literackich okolnie ujawniały smak, zamiłowania, skłonności. Zdania dziewcząt były jednak skrajne — pozytywne aż do zachwytu, albo negatywne aż do potępienia. Ceniąc sobie zgodę z dziewczętami, Jadwiga nie upierała się przy swoich gustach. Obie, zwłaszcza Danka, były oczytane i wymieniały tyle tytułów książek, że Jadwiga wolała nie zdradzać się ze swoimi skromnymi wiadomościami. Danka rozstrzygała ze znawstwem: — Wspaniała książka! — Odnosiło się to w jednakiej mierze do ‚Nocy i dni‘, ‚Dziewcząt z Nowolipek‘, ‚Czarnych skrzydeł‘, ‚Zwycięstwa‘, ‚Krystyny córki Lawransa‘ i ‚Wierzb nad Sekwaną‘. Osobno, na ołtarzu stał ‚uwielbiany‘ — Żeromski. Hanka natomiast była wierna Mostowiczowi. — Być może — usprawiedliwiała się przed wybredną przyjaciółką — że inni piszą kunsztowniej, ale piękne słowa są jak zasłona z gazy, która przeinacza barwy i kształty.

Zasmakowawszy w takich rozmowach i sporach, opowiadały dokładnie albo fragmentarycznie treść książek. Wtedy i dla Jadwigi nadeszła odpowiednia chwila. Opowiadając treść ‚Nędzników‘, zapamiętaną z kina, nie zmyliła porządku fabuły, ani opisu osób, gdyż powieść niejako przebiegała przed oczami. Dziewczęta również dostrzegały w losach Jean Valjeane pewne podobieństwo ze swoim losem. Człowiek prześladowany, tropiony, ukrywający się — człowiek schwytany i pozbawiony wolności należał jakby do ‚tej samej sprawy‘. Jadwiga, trzymając w garści dzisiejszą zdobycz — kromkę chleba — zatajała swój motyw porównawczy: głód.

Refleksje dziewcząt szły dalej. Podejmując zagadnienie krzywdy, Hanka docierała do beznadziejności walki o prawo, słuszność i szczęście człowieka. Natomiast Danka wyratowała z opanowujących ją wątpliwości samą walkę, jej ciągłość, jej nieskończoność. Znowu sprzeciwiła się Hanka temu, co tak trudno ogarnąć pojęciem. Nieskończoność przejmowała ją przerażeniem, jak bezmiar nieba i bezlik gwiazd, jak cyfry astronomiczne. Wszystko — twierdziła — co dzieje się na naszym globie, powinno się pomieścić w ludzkim pojmowaniu, mieć określone granice i znaleźć zastosowanie w życiu.

Danka uśmiechała się zamkniętymi ustami. Rozciągając spierzchnięte wargi, rozdzierała je do krwi, której słony smak lubiła.

— Według ciebie — odezwała się — należy sobie wydzielać po kawałeczku, po kromeczce, ‚pajoki‘, jak to oni nazywają. Ale to nie nasyci głodu. Zresztą, proszę bardzo — nakreśl te granice! Tak dla siebie samej. Powiedz czego chciałaś od życia, gdy byłaś na wolności?

Hanka spuściła nabrzmiałe powieki i podobna do Chinki, pozwoliła Dance i Jadwidze patrzeć na swoją twarz, wyrażającą pokorne i nieśmiałe cierpienie. Czego pragnęła na wolności? Mogłaby tu odrazu powiedzieć, że odrobiny osobistego szczęścia. Może wystarczyłaby jej tylko imitacja, miraż, jakby to określił pisarz w swoich zakłamanych powieściach. Poczuła żal i wstyd. Żal odnosił się do dalekich i nierozpoznanych czynników, które nie dały jej ani urody ani wdzięku. Wstyd — dotyczył właśnie niemożliwych pragnień i gorących wyobrażeń. Nie odpowiedziała więc Dance, która zadowoliła się milczeniem przyjaciółki:

— A widzisz! Chciałaś dużo i coraz więcej. Nie było granic temu, co chciałaś.

W ten sposób doszły do żywych spraw. Danka podjęła się, nie wykraczając poza oznaczone granice, mówić o sobie. Z patosem opowiadała więc o matce i rodzeństwie. Wszyscy byli piękni, zdolni, szlachetni. Była dumna ze swojej rodziny, nawet z jej cudzoziemskiego pochodzenia. Matka jest Gruzinką, ojciec z francuskich emigrantów. Nazwisko powinno się więc pisać De Mont, ale z czasem spolszczono je na Demont. Zresztą słusznie, skoro dziad był w Powstaniu Styczniowym, a ojciec w Legionach. W szkole wmawiano Danucie, że Demontowie pochodzą z Litwy. Obojętne właściwie, skąd kto pochodzi.

Sentencją tą przywoławszy się do porządku, uczyniła zadość swoim socjalistycznym przekonaniom. Teraz mogła już swobodnie opowiadać o skromnych warunkach materialnych, które jeszcze się pogorszyły po śmierci ojca. Umarł z powodu rany w płucach, z czego rozwinęła się gruźlica. Danka musiała opuścić gimnazjum przed samą maturą, żeby pomóc matce i rodzeństwu. Miewała lepsze i gorsze biurowe posady. Nie, nie była robotnicą. W rozlewni spirytusu zaczęła pracować dopiero we wrześniu, poniekąd z konieczności po likwidacji biura, a poniekąd dlatego, że tak trzeba było...

Jadwiga domyślnie pokiwała głową, przy czym na dwie rzeczy w opowiadaniu Danki zwróciła uwagę: po pierwsze, że Droszowa myliła się, określając Dankę jako prostaczkę; po wtóre — zaniepokoiła się gruźlicą ojca Danki. Przychodząc do dziewcząt z wiadomych powodów, narażała się na tę udzielającą się chorobę podwójnie — od Luli i od Danki. To też, gdy z kolei Hanka zaczęła mówić o swojej rodzinie i o sobie, Jadwiga słuchała z roztargnieniem. — Po matce — rozważała trwożnie — jestem dysponowana do choroby płuc. Głód wycieńcza mój organizm, a te dwie, kaszląc, sieją wokół siebie zarazki. — Należało jednak wytrwać i choćby jednym uchem słuchać tego, co długo i szeroko opowiadała Hanka.

Rodowód Hanki Korcówny był całkowicie rodzimy, tubylczy. Nazwisko może nawet chłopskie. Ojciec był mechanikiem i miał nieduży własny warsztat. W tym chyba przejawiała się tradycja rodowa Korców, że z dziada pradziada trudnili się kowalstwem. Hanka po zdaniu matury chciała pójść na politechnikę, na wydział maszyn, ale rodzice orzekli, że to nieodpowiedni zawód dla kobiety. Hanka posiadała odziedziczoną sprawność rąk i po poprostu kochała metale takie, jak żelazo, miedź, mosiądz, brąz. Zamierzała więc zapisać się do szkoły sztuki stosowanej, żeby potem wyspecjalizować się w metaloplastyce. Wrzesień popsuł wszystkie plany i tak samo jak Danka została robotnicą w rozlewni spirytusu. Tak samo — trzeba było...

Jadwiga znowu domyślnie pokiwała głową i znowu ucieszyła się z omyłki Droszowej. Przy najbliższej sposobności powie jej: — Nie robotnica, ale maturzystka! — Teraz słuchała już z życzliwą uwagą, ba — z podziwem. Bo Hanka zapewniała, że gdyby tu mieć narzędzia, potrafiłaby z byle czego zrobić przyjemne cudeńka. Naprzykład ze sztaby łóżka — broszki, bransolety, popielniczki. Chociaż nie warto — zabraliby podczas rewizji i wystroiłaby się w te broszki jakaś czubaryczka. Mimo to nurtowało Hankę, żeby zdobyć jakimś sposobem malutki, miniaturowy pilniczek. Zmajstrowałaby nim coś takiego...

Danka zadeklamowała: ‚Puśćcie mnie kraty!‘ — na znak, że wie co Hanka ma na myśli.

— Być może — mówiła z żalem — że więźniowie kiedyś tak wykrzykiwali, miotali się, bili głową o ściany. Czasem udawało się komuś uciec z więzienia. Ale bolszewicy, sami kiedyś spiskowcy i rewolucjoniści, wiedzą już, jak upilnować, żeby nikt nie wymknął się z klatki. Poobstawiali zewsząd więzienia, urządzili „wyżki“, na dachu ustawili karabin maszynowy. Sami przechwalają się, że NKWD jest najlepszą policją na świecie. Nie rozumiem tylko, dlaczego nocami puszczają w ruch motor motocykla, żeby zagłuszył krzyki torturowanych. Przecież nie kryją się z tym, nie wstydzą się tego!

Jadwiga nie dawała wiary: — Skąd Danka wie, że w tym celu warczy motor?

— O, panno Jadwigo, my dużo wiemy o tym, co się tutaj dzieje.

Hanka powiedziała krótko: — Mordownia!

Z powrotem w atmosferze więzienia i w zagrażającej im „sprawie Józefa Mosta“, przestały wybrzdać w słowach. W dodatku irytowała się Jadwiga, spierając się, że „nie może być“, że „nie do pojęcia, coś takiego“. Raz tylko, z samego początku wezwana na śledztwo, Jadwiga wolała wierzyć i innych o tym przekonywała, że o niej zapomniano. Gdyby nie głód, „kąsający głód“, jak określała bolesne skurcze pustego żołądka, nie miałaby już innych pragnień tylko, żeby ją zostawiono w spokoju do końca. Oczywiście — do końca wojny. — Nasi sojusznicy — wymawiała ten wyraz soczyście, pochłeptując jak podczas jedzenia owocu — nasi sojusznicy najpierw pobiją Niemców, a potem zabiorą się do tych tutaj.

Dziewczyny uzupełniły horoskopy Jadwigi, przewidując wojnę sowiecko-niemiecką. Onegdaj Krystyna przestukała ważne wiadomości otrzymane z męskiej celi, z 48. Oto stosunki sowiecko-niemieckie psują się. Z transportami zboża i tłuszczów do Niemiec idą niezliczone wagony wojska sowieckiego i sprzętu. Wagony te odczepiają we Lwowie, albo wcześniej jeszcze , w Tarnopolu. Jeżeli dojdzie do wojny między sprzymierzeńcami, Niemcy uderzą „blitzem“ i Sowieci zmykając zostawią więźniów. Wtedy wpadną tutaj zamarstynowskie „batiary“, rozbiją drzwi cel. Jakby już przeżywały, jakby już słyszały wrzask wyzwolenia. Potem z paradą, z paradą pójdą przez ulice, a potem każdy pobiegnie do swojego domu.

Doszedł je cichy głos:

— A Niemcy? Niemcy zostaną tutaj?

Obejrzały się strwożone, bo jakby duch przemówił znienacka. Tola odwrócona plecami, nie miała jednak zamiaru uczestniczyć w rozmowie. Dziewczęta trzymały się zatem kolejności wydarzeń: — Najpierw pozbyć się jednych, potem przyjdzie czas na rozprawienie się z drugimi. Rzecz w tym, żeby doszło do wojny między Sowietami i Niemcami, żeby się nawzajem osłabili i wykrwawili.

Jadwiga, podnosząc oczy, przyciskając rękę do piersi, inaczej wyobrażała sobie moment wyzwolenia:

Przekład z hiszpańskiego: ZOFIA BOHDANOWICZOWA

Do Jezusa Ukrzyżowanego*)

Nie zmusza mię, o Boże mój, do miłowania
Niebo, któreś obiecał przedemną otworzyć,
Ani mnie zmusza piekło straszliwe, co trwoży,
Bym niechała smucenia Cię i obrażania.

Ty mnie zmuszasz, o Panie, cierpiący najsrożej,
Przygwożdżony do krzyża w męczarni konania
I miotane na Ciebie tłuszczy urągania
I śmierć Twa w opuszczeniu wielkim i pokorze.

Zmusza mnie wreszcie miłość Twa tak doskonała,
Że kochałabym, choćby i nie było nieba,
Choćby piekła nie było, teżbym się lękała.

Aby Ciebie miłować, darów mi nie trzeba,
Bo choćbym tej nadziei, którą mam, nie miała,
Jabym Ciebie tak samo, jak kocham, kochała.

*) Sonet anonimowy z 16-go wieku, przypisywany św. Teresie.

— Mury padną — skandowała proroczo — drzwi same się otworzą, gnębiciele się rozpierzchną. Będzie wtedy jasny dzień we Lwowie i za bramą — do twarzy, do rąk, do całego ciała przylgnie słońce. Tramwaj zadzwoni i zatrzyma się, aby nas zabrać, abyśmy nie pieszo...

Zabajała się Jadwiga, nie odbiegając jednak od realnych szczegółów. Pojedzie zatem tramwajem na Janowską i jak zawsze bywało, drewnianymi, froterowanymi schodami starej, schludnej kamienicy wejdzie na pierwsze piętro, do swojego mieszkanka. Zaraz pod blachą rozpali ogień dobrze wysuszonymi smolakami. Ugotuje zupę na kościach, młode kartofelki posypie koperkiem, sałatę zaprawi śmietaną, kurczęta będą z nadzieniem...

Mówiła urywanymi zdaniami, jak w transie. Hanka szepnęła do samego ucha Danusi:

— Już się jej trochę w mózgu popsuło.

Danka poddała się jednak wizjom Jadwigi. Uczucie głodu stało się tak dojmujące, że jęknęła:

—Niech pani nie opowiada o jedzeniu, bo robi mi się słabo z głodu.

W istocie pobladła i przechyliła się na bok. Hanka krzyknęła:

— Wody! Wody! Danka zemdlała!

Jadwiga wyrwana ze swoich marzeń, zakrzątnęła się według wskazań: „Ratunek w pierwszej potrzebie":

— Rozluźnić w pasie spódnicę, rozpiąć kołnierzyk!

W zapale ratowania otworzyła dłoń. Nie umiała sobie potem wytłumaczyć, dlaczego mimo to czuła kromkę chleba w garści. To też, gdy docuciły Dankę, Jadwiga powiedziała:

— Mam tu kromeczkę chleba, niech ją pani zje.

Wtedy dopiero spostrzegła, że ręka jest pusta. Szukając w załomach siennika, powtarzała w podnieceniu, że przecież miała ten chleb, że przyniosła go z sobą, że nie mógł tak zniknąć, zczeznąć. Hanka pomagała jej gorliwie, ale w pewnej chwili oczy Jadwigi spotkały się z oczami dziewczyny. Od razu pojęła — i przestała szukać.

Potem ze swojego miejsca na łóżku spojrzała ukradkiem na Hankę. Dziewczyna płakała. Jadwiga poczuła w swoich płucach głuchy bulgot, który podszedłszy do gardła, zatrzymał się, jak nieprzełknięty kęs chleba. Długo tej nocy nie mogła zasnąć. Modliła się więc i modliła, aż wyszarpnęła z serca:

— Jezu Chryste, odpuść mi grzech. Mnie odpuść i tej nieszczęsnej tak samo. I nam wszystkim, które upadamy, upadamy...

Nie zdawało się jednak Jadwidze, że to, co czuła, wyraziła własnymi słowami lepiej niż w słowach codziennego pacierza: „Chleba naszego powszedniego" — „Odpuść nam nasze winy" — „Zbaw od złego". Serce Jadwigi rozwierało się szerzej i szerzej, ale ciągle bolał grzech jak świeża rana. Miała wrażenie, że ktoś którego nie należy nazwać, skrzywionym pazurem rozdrapuje ranę. Nie spała, była zupełnie przytomna i wyraźnie słyszała chrobotanie, skrzypienie pazura w żywym ciele.

Chrobotanie i skrzypienie dotyczyło jednak drzwi. Wszedł rudy nadziratiel i rozbudził śpiące gromkim zapytaniem:

— Kto tu jest na bukwu „Bbb"?

Jadwiga natychmiast podniosła się i wyrecytowała swoje nazwisko, imię, otczestwo. Ubierała się szybko i byle jak. Leżące na siennikach podkurczyły nogi, żeby mogła przejść bez przeszkody.

— Leżcie, leżcie — powiedziała — ja przeskoczę.

Hanka najcichszym szeptem dodała jej otuchy:

— Niech się pani nie boi...

Jadwiga szepnęła tak, żeby nadziratiel nie usłyszał:

— Boję się, bardzo się boję, ale nie ich, nie ich...

Herminia Naglerowa

X. WŁODZIMIERZ CIEŃSKI

CZY KOŚCIÓŁ

W ZESZŁYM roku dwa pisma komunistyczne w związku z debatą parlamentarną we Włoszech nad ustawą nie dozwalającą rozwodów rozpoczęły kampanię prasową przeciw św. Rocie rzymskiej.

W oficjalnym organie włoskiej partii komunistycznej „L'Unità" w artykule pod tytułem „Rota i rozwody" czytaliśmy takie zdanie: „Za kilka milionów lirów można uzyskać we Włoszech potrzebny rozwód, ogłoszony w oficjalnej łacinie". Artykuł kończy się zdaniem: „W rzeczywistości rozwód jest osiągalnym przywilejem jedynie dla właścicieli ziemskich, niewątpliwie nielicznych, ale zasobnych. Za pieniądze można wszystko kupić... Bogaci mogą w 90 wypadkach na sto uzyskać pożądany rozwód, nawet we Włoszech... Ta pokaźna suma pieniężna oczywiście służy zbawieniu duszy w dzień sądu, a samo przez się się rozumie, że za zbawienie duszy nigdy zbyt drogo się nie płaci".

Nazajutrz inny komunistyczny dziennik „Il Paese" dorzucił następujące szczegóły: „W rzeczywistości trybunał Roty (...) nie udziela rozwodów, lecz tylko unieważnień (...) co wychodzi na jedno, gdyż można zawrzeć nowy związek prawnie pobłogosławiony, pod warunkiem by móc obficie czerpać ze sakwy uprzywilejowanych".

Nic dziwnego, że tego rodzaju poglądy znajdujemy na łamach pism wrogich Kościołowi. Nie tylko dziwne natomiast, ale oburzające i bardzo bolesne jest, gdy takie poglądy wypowiadają usta swoich, — członków Kościoła — a gorzej jeszcze, gdy nawet bronią prawdziwości tych oszczerstw.

A teraz ciekawe pytanie: I cóż na to św. Rota Rzymska?

Dnia 28-go czerwca 1949 r. św. Rota rzymska wniosła skargę do trybunału karnego włoskiego na oba te pisma komunistyczne, a rozprawa rozpoczęła się dn. 25 lutego br.

Polscy katolicy powinni śledzić tę sprawę, by usunąć wiele błędnych opinii, opartych na wiadomościach czerpanych i szeroko rozpowszechnianych poprzez XIX w. z wrogich Kościołowi ośrodków.

Muszą więc polscy katolicy bliżej poznać czym jest św. rzymska Rota i jakie jest jej działanie.

USTRÓJ SĄDOWY

Kościół katolicki poprzez wieki rozwijał i dostosowywał swój aparat wykonywania władzy na całym świecie. Znamy ten aparat pod nazwą Kurii Rzymskich. Kuria składa się z szeregu Kongregacji. Są to zebrania kardynałów i prałatów pod kierownictwem wyznaczonego prefekta. Według zakresu wyznaczonego każdej poszczególnej Kongregacji, badają one, omawiają i kierują sprawami Kościoła.

Prefekt każdej Kongregacji — czy to będzie kardynał czy prałat — otrzymuje władzę od Papieża. Władza prefektów — jurisdictia — zależy wyłącznie od woli Papieża, w jego imieniu jako najwyższej władzy Kościoła prefekci spełniają swe funkcje.

Obecnie istnieje 12 Kongregacji. Polem ich działania jest doktryna, kult i dyscyplina.

Poza tymi Kongregacjami istnieją trzy Trybunały rzymskie wykonywujące władzę sądowniczą. Są nimi:

1) Święta Penitencjaria. Jurysdykcję swą rozciąga ona na sprawy sumienia. Udziela dyspensy od ślubów zakonnych i ślubowań. Przewodniczący jej kardynał zwie się Wielkim Penitencjariuszem.

2) Najwyższy Trybunał Sygniatury Apostolskiej: jest najwyższym trybunałem kasacyjnym i ma zleconą władzę rewizji procesów.

3) *Święta Rota Rzymska:* rozciąga swoją działalność na cały świat i jest najstarszym trybunałem kościelnym. Jej wyroki są ogłaszane od XIV w. Ze zbiorów tych wyroków powstały ogromne biblioteki.

Święta Rota Rzymska poprzez wieki nie tylko wydawała wyroki, ale stała się szkołą myśli prawniczej i to nie tylko dla prawa kanonicznego, ale też dla prawa cywilnego w Państwie Kościelnym, tworząc podstawy „obojga prawa". Jest ona źródłem wielu naszych dzisiejszych prawodawstw.

Poprzez wieki cieszyła się św. Rota wielkim autorytetem prawniczym w całym świecie, nie tylko dla sądownictwa kościelnego, ale także dla prawa powszechnego cywilnego. Była — rzec można — mistrzynią tegoż prawa w całym świecie kultury zachodnio - chrześcijańskiej.

Poprzez wieki najwybitniejsi prawnicy poświęcali swe zdolności i pracę tej wielkiej instytucji, temu najstarszemu Trybunałowi rzymskiemu. To też obdarzono Rotę mianem „schroniska sprawiedliwości" — asylum iustitiae —. Pod tym względem nic się nie zmieniło.

Po zlikwidowaniu państwa kościelnego za pontyfikatu Piusa IX. w drugiej połowie XIX w. wyroki i kierownictwo prawem cywilnym w Państwie kościelnym przestały być aktualne i Rota zostaje na nowo zorganizowana dekretem Piusa X. z 28 czerwca 1908 r. „Sapienti consiliae". Staje się ona przede wszystkim trybunałem apelacyjnym dla całego świata katolickiego.

„Najwyższym sędzią dla całego świata katolickiego jest Biskup rzymski (Papież), który tę czynność wykonuje sam, albo poprzez wyznaczony przez siebie trybunał, lub przez wydelegowanych sędziów". (can. 1597 K. P. K.)

Tak też rozwijał się Trybunał Roty. Dzisiaj składa się on z 14 audytorów mianowanych przez Papieża. W skład tego trybunału wchodzą stale Francuz, Anglik, Polak, Niemiec. Na czele św. Roty stoi dziekan. W chwili obecnej jest nim X. Andrzej (Andrè) Jullien, Francuz — primus inter pares. Regulamin pracy jest ściśle określony i przestrzegany. Audytorem Polakiem jest w tej chwili X. dr Bolesław Filipiak, długoletni sekretarz kancelarii śp. Em. X. Kard. Hlonda.

Zasadniczo nie jest św. Rota ograniczona tylko do rozpatrywania spraw małżeńskich, choć teraz głównie zajmuje się — jako najwyższy trybunał apelacyjny — sprawami małżeńskimi już rozstrzygniętymi w jednej lub dwu instancjach.

Każdy biskup będąc sędzią swej diecezji, ma też swój sąd biskupi. Na czele tego sądu stoi oficjał. Członkiem jest promotor iustitiae - po polsku można by go nazwać rzecznik sprawiedliwości — obrońca węzła małżeńskiego i notariusz, wszyscy mianowani przez biskupa, w którego imieniu wydają decyzje wraz z sędziami powołanymi przez biskupa, którzy kolejno pod kierownictwem oficjała we trzech rozpatrują sprawy.

Dla każdego sądu biskupiego jako dla pierwszej instancji, jest wyznaczona druga instancja. Zwykle jako druga instancja dla prowincji kościelnej jest ukonstytuowany sąd w siedzibie Metropolii.

Stąd dopiero, jeśli sprawa tego wymaga, idzie ona do trzeciej instancji tj. do św. Roty.

SAKRAMENT MAŁŻEŃSTWA

Poznawszy bardzo pobieżnie hierarchię sądowniczą w Kościele, przypatrzmy się temu, co sądy kościelne mają zbadać w zakresie Sakramentu małżeństwa.

Sakrament małżeństwa jest kontraktem dwojga ochrzczonych osób.

W założeniu myśli Bożej ten kontrakt jest nierozerwalny. Stanowi o tym prawo naturalne dla dobra i potrzeb wychowania dzieci, które wymagają zapewnienia opieki przez 20 lat.

To pierwotne założenie prawa naturalnego, które jest też przez Stwórcę postanowione dla ładu i porządku w świecie jest wyraźnie podkreślone przez Chrystusa. Gdy przyszli do Niego Żydzi zapytując, co sądzi o listach rozwodowych, które nakazał dawać Mojżesz (Mat. 19 w. 5 i nast. rz., 5 w. 32 i nast). Jezus powiedział: „Co tedy Bóg złączył człowiek niech nie rozłącza". Chrystus to określił. Jest to autorytet Boski. Nauka Kościoła objaśnia znaczenie tych słów i uczy, że raz zawarty ważnie związek małżeński jest nierozerwalny.

Musi być ktoś, kto określa ważność tego małżeńskiego kontraktu. Prawo do określania przysługuje tylko Kościołowi, bo dla ochrzczonych kontrakt ten jest równocześnie Sakramentem udzielającym małżonkom łaski potrzebnej do spełnienia obowiązków i zadań życia rodzinnnego.

Kontrakt małżeński, aby był ważny, musi być zawarty przy dwóch świadkach i przy delegacie kościelnym, którym jest biskup diecezji, proboszcz swej parafii, albo kapłan przez jednego z nich wydelegowany. Wyjątkowo kontrakt małżeński jest ważny bez kapłana, a dla katolika jest Sakramentem,

ZDZISŁAW MARYNOWSKI

DZIENNIKARSTWO RADIOWE

Od Redakcji. — Radiofonia stanowi dziś w całokształcie zjawisk kulturalnych każdego narodu pozycję bardzo doniosłą, rozległą i podlegającą ciągłemu rozwojowi. Radiofonia polska w Kraju, podporządkowania całkowicie względom polityki totalnej państwa socjalistycznego, nie posiada — podobnie, jak inne dziedziny twórczości kulturalnej—niezbędnej do właściwego rozwoju swobody działania. Emigracja, której zadaniem jest m.in. wyręczyć Kraj, tam gdzie zjawia się tego potrzeba, nie posiada warunków na praktyczną twórczość radiową. — Tym chętniej więc zamieszczamy niżej artykuł teoretyczny, dotyczący pewnego odcinka zagadnień radiowych, tak rzadko — z natury rzeczy — poruszanych w prasie emigracyjnej, skreślony piórem powołanym. Autor artykułu pracował w radiofonii polskiej przez kilkanaście lat przed wojną na stanowiskach kierowniczych jako kier. literacki i twórca „Teatru Wyobraźni", jako szef inspekcji programów rozgłośni regionalnych, jako dyrektor rozgłośni w Wilnie i w Poznaniu, a w czasie okupacji niemieckiej, jako, desygnowany przez władze Polski Podziemnej, dyrektor jedenastu rozgłośni na ziemiach zachodnich, okupowanych i postulowanych. Artykuł niniejszy jest skrótem wykładu, wygłoszonego w londyńskiej Szkole Nauk Politycznych i Społecznych.

POLSKIE Radio przez wiele lat musiało wyrzekać się podawania wiadomości aktualnych, właściwych prasie codziennej, aby nie robić handlowej konkurencji wydawnictwom. Czasopisma i agencje obawiały się bowiem, że dziennikarska działalność radia niekorzystnie odbić się może na obiegu prasy wśród czytającego społeczeństwa.

Innym motywem trudności była obawa, zarówno wydawców i dziennikarzy, jak i polityków, przed możliwością politycznego oddziaływania radia na szerokie masy, drogą komentowania podawanych wiadomości faktycznych.

Kompromis zawarty następnie obejmował słuszne ograniczenie w dziedzinie komentowania faktów i niesłuszne zastrzeżenie dotyczące nie uprzedzania prasy codziennej. Pierwszy warunek bywał jednak, często gwałcony przez wpływy rządowe, drugi natomiast był ściśle dotrzymywany.

Z faktu, że radio, przez podawanie „dziennika" i dalsze rozszerzenie zakresu swej działalności dziennikarskiej w wielu pokrewnych kierunkach, nie tylko nie zabiło prasy codziennej i innych czasopism, lecz nawet nie stworzyło dla nich konkurencji handlowej, wynika jedynie wniosek, że żaden nowy środek oddziaływania kulturalnego nie zagraża już istniejącym, lecz jedynie umacnia podstawę ich bytu, zdobywając właściwymi sobie środkami działania nowe zastępy odbiorców kultury i tym samym rozszerzając możliwości jej zasięgu.

Równocześnie powstało inne zagadnienie zasadnicze, na tle zawodowo-dzienikarskim.

Syndykat Dziennikarzy Polskich przez długi czas miał wątpliwości, czy uznać dziennikarzy pracujących w radio za pozostających nadal w zawodzie dziennikarskim, a następnie wahał się, czy uważać pracę adeptów dziennikarskich w radio za właściwą kwalifikację do ubiegania się o członkostwo Syndykatu. Ostatecznie — po kilku już latach istnienia Pol. Radia, — postanowiono uznać te prawa i kwalifikacje w stosunku do osób, pracujących w d z i e n n i k a r s k i c h działach radia, za które uznano Wydział Aktualności w Dyrekcji Programów i Wydział Prasy i Propagandy przy Dyrektorze Naczelnym.

* * *

Spory radia z wydawcami i ewolucja stosunku zawodowej organizacji dziennikarstwa do pracy w radio, plastycznie przedstawia proces różnicowania i ostatecznego wyodrębnienia elementu dziennikarskiego w pracy radiowej od innych elementów tej pracy.

Łatwiej jednak jest przeprowadzić rozgraniczenie formalne i spostrzec narzucające się analogie, niż określić istotne różnice i podobieństwa w zakresie, formie oraz metodach pracy dziennikarza radiowego i jego kolegi z czasopisma, lub agencji informacyjnej.

W obu rodzajach działalności dziennikarskiej p o d s t a w o w ą a n a l o g i ę stanowi zasada szybkiej publikacji wyniku pracy, tak samo w radio, jak w agencji, czy też w dzienniku. — P o d s t a w o w ą r ó ż n i c ę zaś stanowi odmienny technicznie sposób dokonania tej publikacji.

W jednym wypadku mamy do czynienia ze s ł o w e m d r u k o w a n y m, w drugim — ze s ł o w e m m ó w i o n y m. Po jednej stronie występuje t e c h n i c z n a t r w a ł o ś ć po drugiej t e c h n i c z n a n i e t r w a ł o ś ć publikacji.

Dalszą różnicą stanowi sprawa z a s i ę g u p u b l i k a c j i. Zasięg publikacji drukowanej jest ograniczony do ilości odbiorców, którzy świadomie chcą daną publikację czytać, gdyż odpowiada ona ich zainteresowaniom, lub poglądom ideowym. Zasięg publikacji radiowej nie jest w ten sposób ograniczony, gdyż trafia ona do wszystkich słuchaczy, niezależnie od ich osobistych zainteresowań i przekonań.

Wreszcie należy wziąć pod uwagę czynnik w y b o r u i czynnik p o r ó w n a n i a. — Czytelnik słowa drukowanego ma przed sobą możność p o d w ó j n e g o w y b o r u: może wybrać r o d z a j publikacji, jaki mu najlepiej odpowiada i może wybrać c z a s, w którym odda się jego lekturze. Może też wybrać kilka czasopism o odmiennych poglądach i na podstawie porównywania kształtować własny pogląd

Słuchacz radia możności wyboru i porównania nie posiada. Wynika to z faktu, że w większości krajów na świecie radiofonia, bądź to stanowi monopol państwowy, jak np. we Francji, w Niemczech, we Włoszech, a obecnie także w Polsce, bądź też monopol koncesjonowanej korporacji, jak np. BBC w W. Brytanii, lub Polskie Radio przed wojną w Polsce.

W krajach, gdzie monopolu nie ma, jak np. w USA, sytuacja jest o tyle gorsza, że wolna konkurencja wielu stacji nadawczych, które swój byt opierają na opłatach z reklam handlowych, stworzyła zupełnie dziki chaos w eterze i nic tam nie wróży poprawy, dopóki — jak pisze kanclerz Uniwersytetu w Chicago, R.M. Hutchins — ludzie nie wyjdą na ulicę i nie porozbijają swych odbiorników o bruk, na znak protestu przeciw przymusowi słuchania np. reklamy mydła Proctora i Gamble, którzy, wydając ponad dwadzieścia milionów dolarów rocznie na reklamę radiową, stali się faktycznymi dyktatorami amerykańskich programów.

Z tych zasadniczych różnic, dotyczących techniki publikacji, jej zasięgu i jej monopolistycznej sytuacji, wynikają konsekwencje, ciążące nad pracą dziennikarza radiowego.

Ośmielam się twierdzić, nie ujmując nic kwalifikacjom innych dziennikarzy, że w pewnych kierunkach praca radiowa stawia dziennikarzowi wyższe wymagania osobiste, niż jego przeciętnemu koledze z prasy. W pierwszym rzędzie dotyczyć to będzie większego poczucia odpowiedzialności za swoje słowa, których prostowanie i poprawianie jest o wiele trudniejsze, gdyż może nie trafić do pierwotnego, błędnie poinformowanego słuchacza; większej powściągliwości w wypowiadaniu jakichkolwiek opinii własnych, których niesłuszności nikt nie może obalić na tej samej drodze; większej lojalności wobec słuchacza, którego poglądy na daną sprawę mogą być zupełnie odmienne; wreszcie ogromnie wiele taktownej wyrozumiałości i przystępności wobec tych słuchaczy, których przygotowanie umysłowe stoi na nieco niższym poziomie, a dla których radio stanowi ważne, czasami jedyne źródło informacji.

Konsekwencje te muszą się wyrazić w zakresie t r e ś c i, j e j u k s z t a ł t o w a n i a w t e k ś c i e i f o r m y j e j p o d a n i a przed mikrofonem.

Na pierwsze pytanie: co stanowi treść pracy dziennikarza w radio? — odpowiedź jest prosta: i n f o r m a c j a. Z poprzednich przesłanek wynika, aż nadto dobitnie, że musi to być r z e t e l n a i n f o r m a c j a. I w tym słowie „informacja" mieści się wszystko. Zawarta jest w nim również cała tematyka. Wyznacznikiem zaś tej tematyki, jak w każdym innym rodzaju dziennikarstwa, jest k r y t e r i u m a k t u a l n o ś c i.

* * *

Zasadniczym czynnikiem, kształtującym formę danego rodzaju sztuki, jest materiał i techniczne środki, służące do posługiwania się nim w celu wyrażenia zamierzonej idei. —

UDZIELA ROZWODÓW

jeśli nie można osiągnąć obecności kapłana w ciągu miesiąca. Widzieliśmy takie wypadki w Rosji, gdzie małżeństwo było ważne, gdy nowożeńcy wyrazili zgodę na współżycie wobec dwóch świadków choćby nawet w urzędzie cywilnym, ale tylko wtedy, jeżeli Ksiądz nie mógł być obecny przy tym kontrakcie.

Kościół określił również pewne przeszkody, które kontrakt małżeński czynią *z góry nieważny*.

Prócz przeszkód wynikających z samej istoty kontraktu jak to brak wolnej i dobrej woli, która chce spełniać istotną myśl i cel kontraktu, a jest nim stała wspólność wzajemnego życia i dzieci, Kościół dla rozwoju i dobra rodziny postawił warunki ważności kontraktu. Jeśli te warunki nie zachodzą, wówczas kontrakt jest nieważny. Są też warunki, które czynią kontrakt nielegalnym, ale mimo tego jest on ważny.

PRZESZKODY MAŁŻEŃSKIE

P i e r w s z a grupa przeszkód małżeńskich — a jest ich 12 — nazywa się grupą *rozrywającą*.

D r u g a grupa to przeszkody *przeszkadzające;* te nie czynią małżeństwa nieważnym.

Oto parę wyjaśnień o pierwszej grupie. — Mało kto bowiem wie, że istnieją przeszkody, które uczynią małżeństwo nieważne, choćby było zawarte w kościele wobec księdza.

Mamy tu więc: określony wiek, potrzebny dla ważności ślubu. Prawo kościelne naznacza dla katolików całego świata: dla mężczyzn ukończonych 16 lat życia, dla niewiasty ukończonych 14 lat. (Prawo cywilne każdego kraju określa też minimum lat potrzebnych dla wejścia w związki małżeńskie i trzeba się do tego stosować).

Niemoc małżeńska, poprzednio już zawarty związek małżeński, śluby zakonne uroczyste i pojedyncze określone przez Kościół święcenia kapłańskie — są przeszkodami rozrywającymi.

W tym miejscu należy zwrócić uwagę na *a) różnicę wyznania (disparitas cultus)* tu się zalicza nieochrzczonych jak: Żydzi, muzułmanie i poganie, oraz *b) na przeszkodę zbrodni*, którą pokrótce wyjaśnię:

Jeśli w czasie trwania legalnego małżeństwa popełniło się cudzołóstwo, a złożono sobie obietnicę zawarcia małżeństwa, lub zawarło się małżeństwo cywilne — wówczas powstała przeszkoda zbrodni. Także rozwiedzeni, którzy zawarli związek cywilny, podpadają pod tę przeszkodę zbrodni i jeśli zawrą między sobą po śmierci stron małżeństwo kościelne nie uzyskawszy dyspensy — ich ślub kościelny będzie nieważny.

Pod tę przeszkodę małżeństwa popadają ci, którzy popełnią zabójstwo jednego z małżonków, lub będą wspólnikami tego zabójstwa.

Przeszkodą omawianej grupy przeszkód rozrywających jest też pokrewieństwo w linii prostej i ta przeszkoda nie może być przez dyspensę usunięta. *Linią prostą* stanowią dziad lub babka, ojciec lub matka, dzieci i wnuki. *Linią boczną* jest pochodzenie od jednej rozeszłej gałęzi rodziny: brat — siostra, rodzeństwo stryjeczne i cioteczne. Tu przeszkoda trwa do trzeciego stopnia, to znaczy że ci, o których chodzi mieli wspólnych dziadków.

Powinowactwo jest to stosunek powstały przez małżeństwo jednej strony małżonków z krewnymi drugiej strony. Tu przeszkoda sięga do drugiego stopnia linii bocznej.

Uczciwość publiczna rozrywa małżeństwo jeśli dwoje nie miało zawartego małżeństwa, lub mieli tylko ślub cywilny, a jedna ze stron chciałaby zawrzeć związek małżeński z krewnym lub krewną drugiej strony.

Przeszkodą rozrywającą jest pokrewieństwo duchowe wynikające z ceremonii chrztu św., a powstające między ochrzczonym a udzielającym chrztu św., a z drugiej strony między ochrzczonym, a jego rodzicami chrzestnymi.

Tu należy także przeszkoda porwania i uwięzienia.

Te wszystkie przeszkody jeśli zachodzą — czynią kontrakt małżeński nieważny, o ile nie uzyskano dyspensy a także czyni go nieważnym złe ustosunkowanie się woli nowożeńców do samej istoty małżeństwa, lub brak przepisanej przez Kościół formy.

Mimo wszystkich pozorów małżeństwa takie nie zaistniały. Trzeba wtedy zbadać wszystkie przedstawione dane. Ta procedura badania nazywa się procesem. Procedura procesu małżeńskiego jest bardzo trudna, jest dokładnie określona, wymaga wielkiej sumienności i dużej wiedzy oraz przezorności. Strony zainteresowane w uzyskaniu określenia nieważności małżeństwa uciekają się często do przeróżnych sposobów, byle by za wszelką cenę osiągnąć zamierzony cel. Zapominają, że można czynniki kościelne wprowadzić w błąd, można uzyskać błędny wyrok na podstawie nieuczciwych zabiegów, ale Pana Boga się nie wprowadzi w błąd i małżeństwo raz prawnie zawarte, mimo wyroku, nie przestanie być małżeństwem.

W każdym sądzie biskupim jest z góry wyznaczony adwokat dla obrony związku małżeńskiego, na zasadzie, że małżeństwo zawarte w Kościele jest ważne. Trzeba udowodnić dopiero, że jest ono nieważne.

Każda sprawa procesu małżeńskiego musi przejść przez dwie instancje, a w razie odmiennych wyroków każdej instancji, przechodzi do trzeciej najwyższej, jaką jest św. Rota rzymska. Obrońca węzła małżeńskiego może zawsze odesłać sprawę do Roty, mimo, że dwie pierwsze instancje rozstrzygnęły jednakowo.

Widzimy teraz jaka jest w założeniu rola trybunałów kościelnych w sprawach małżeńskich, oraz że św. Rota ma opiekę nad samym węzłem małżeńskim zgodnie z nauką Chrystusa Pana.

Zadaniem św. Roty jest bronić świętej instytucji jaką jest Sakrament małżeństwa przed namiętnością i słabością ludzką, bronić w każdym poszczególnym przedłożonym jej wypadku. Z drugiej strony św. Rota ma określić czy w danym wypadku nie było małżeństwa.

Św. Rota zatem nie udziela rozwodów, lecz określa, że małżeństwo było nieważne.

JAK DZIAŁA ROTA RZYMSKA

Każda instytucja i każdy urząd, by dobrze i sprawnie działać, tworzy swoją własną organizację.

Jakeśmy to widzieli sądy biskupie i św. Rota mają też ustaloną formę i konstrukcję. Prócz ciała sądowniczego, zainteresowane strony muszą mieć przedstawicieli i obrońców swej sprawy. Są nimi adwokaci. Św. Rota ma całą szkołę adwokatów. Prawnik z doktoratem, czy to świecki czy duchowny, może kończyć specjalne studia adwokackie w św. Rocie. Trwają one trzy lata. W czasie studiów trzeba opracować wiele specjalnych zagadnień. Przy końcu każdego roku są egzaminy pisemne i ustne, prócz egzaminu końcowego.

Jak podaje francuski dziennik „La Croix" mamy teraz w Rzymie około 90 adwokatów duchownych i świeckich, którzy ukończyli szkołę w św. Rocie; w całym świecie jest takich adwokatów około 300.

Św. Rota udziela zezwolenia obrony spraw adwokatom duchownym i świeckim zapisując ich na listę adwokacką. Obowiązuje ich pewna dyscyplina, mają z góry wyznaczoną wysokość honorarium, a pobieranie wyższych wynagrodzeń, porozumiewanie się ze strona i inne wykroczenia pociągają za sobą kary skreślenia, czasowego lub zupełnego z listy adwokackiej Roty.

Jakeśmy to już poprzednio podkreślili, św. Rota rozpatruje nietylko sprawy małżeńskie, jako instancja apelacyjna dla całego świata, ale i różne sprawy kościelne.

Św. Rota pracuje w tak zwanym turnusie składającym się z trzech sędziów, turnus ten nazywa się *ponens*. Jeden z sędziów przewodniczy. Każda sprawa jest rozpatrywana i wyrokowana przez skład jednego ‚turnusu'. Od wyroku jednego ‚turnusu' może być odwołanie do następnego. W bardzo ważnych wypadkach sprawę rozpatruje całe kolegium audytorów.

Po dziewięciu latach wyroki św. Roty są publikowane w wydawnictwach ukazujących się corocznie.

Zapoznawszy się pokrótce z techniką pracy św. Roty przypatrzmy się danym i cyfrom, które nas znowu objaśnią jak kłamliwe są różne plotki obiegające nawet i katolickie społeczeństwa, a pochodzące z kół wrogich Kościołowi.

Podkreślę jeszcze, że sprawy opłacają sprawy zainteresowane. Są też sprawy, którym po zbadaniu podania, udziela się tego co się u nas nazywało w sądownictwie ‚prawo ubogich', t.j. zwolnienie z należnej taksy i z opłat. W takim wypadku zostaje z urzędu wyznaczony adwokat, który ma sprawę prowadzić. Jest on kontrolowany, czy sprawę prowadzi sumiennie.

Już suma deficytu św. Roty, którą pokrywa Papież, dowodzi, że nie tylko bierze się pieniądze w rzymskich trybunałach, ale się też je daje. Deficyt ten sięga 20 milionów lir rocznie.

Z ‚La Croix' zaczerpnąłem dane dla obrazowego przedstawienia prac św. Roty. (Dziennik ten omawia też na swych łamach proces św. Roty rozpoczęty z komunistycznymi pismami włoskimi).

‚La Croix' podaje cyfrę 1030 spraw małżeńskich, które załatwiła św. Rota w czasie lat 12 od 1936 do 1948 roku. Już samo rozpatrzenie tych danych, pozwala nam przekonać się, jak na decyzje i postępowanie trybunału ‚asilium iusticiae' wywiera obiektywny wpływ sama sprawa, a nie okoliczności, ani wpływy zewnętrzne.

Z tych 1030 spraw opłaconych było przez strony 572, z nich uznano w wyroku, że 221 małżeństw było nieważnych, to jest 38,6%. W tym samym czasie na 458 spraw, które otrzymały prawo ubogich uznano małżeństw 210 za nieważne to jest 45,8%.

Wydatki związane z procesem są duże, szczególnie, gdy się weźmie pod uwagę koszta tłumaczeń każdej sprawy na język łaciński. Nieraz akta te sięgają kilkuset stron wraz z protokołami lekarzy, świadków, rzeczoznawców itd. Opłata ekspertyzy lekarskiej sięga najwyżej 30 tys. lir, a honorarium adwokata określa za każdym razem ‚*ponens*', oceniając pracę włożoną przez adwokata w każdym poszczególnym wypadku. Waha się ta opłata od 25 do 85 tys. lir. Jeśli adwokat umówił się ubocznie o dodatkowe honorarium, ta umowa ze strony Roty z góry uznana jest za nieobowiązującą i Rota wymaga, by adwokat oddał daną sumę. Adwokat podpada pod kary regulaminu dyscyplinarnego obowiązującego w Rocie. Trzeba jeszcze zaznaczyć, że adwokat zdoła najwyżej w ciągu roku prowadzić 3 lub 4 sprawy. Wynagrodzenie więc nie daje adwokatowi obarczonemu ro-

(Dokończenie na str. 6-ej)

Charakterystyczne cechy malarstwa olejnego powstają z faktu posługiwania się farbą olejną, kładzioną na płótno grubym pędzlem i, aczkolwiek, zarówno podstawą obrazu olejnego, jak i drzeworytu, jest rysunek, to jednak nie umielibyśmy sobie wyobrazić tworzenia drzeworytu techniką malarską, lub przeciwnie.

W dziennikarstwie radiowym środkiem wyrażenia myśli jest s ł o w o m ó w i o n e, nie zaś s ł o w o d r u k o w a n e i, aczkolwiek w większości wypadków musi ono być naprzód wyrażone graficznie, to jednak powinno być napisane tak, aby przy wypowiedzi wyraziło w sposób najprzejrzystszy i najdobitniejszy zawartą w nim myśl. Brzmi to — na pierwsze wrażenie — trochę jak czczy truizm, jednakże bynajmniej nim nie jest. Idzie tu bowiem nie o słowo przeznaczone do czytania w myśli przez samego odbiorcę, lecz do odczytania głosem przez kogoś, kto jest takim samym pośrednikiem pomiędzy autorem tekstu, a odbiorcą-słuchaczem, jakim jest gazeta wobec odbiorcy-czytelnika. Czytelnik jest sam interpretatorem odczytanego słowa, a interpretacja ta podlega jego własnej odpowiedzialności i może być w ciągu czytania zmieniana i korygowana. Interpretacja pośrednika jest z konieczności ostateczna i autorytatywna, a za tym tekst nie może pod tym względem upoważniać do żadnej dowolności.

Dla lepszego zrozumienia tej sprawy może dobrze byłoby zastanowić się nad tym, co to jest s ł o w o. — Pytanie na pozór trochę śmieszne. Ale wydaje mi się, że tylko na pozór.

Mówiliśmy dotąd wciąż o słowie mówionym. Po chwilce uwagi musimy jednak spostrzec, że słowo napisane jest czymś nieco odmiennym od słowa wymówionego. Słowo napisane bowiem posiada kształt graficzny, wyznaczający tylko w przybliżeniu jego formę dźwiękową i jego sens. Słowo mówione składa się natomiast z d ź w i ę k u i s e n s u. Sam dźwięk jednak nie wyznacza pełnego sensu, przynajmniej w niektórych słowach. Pełny sens słowa musi być jeszcze wywołany przy pomocy emocjonalnej b a r w y dźwięku. Stąd w słowie mówionym łatwiej o dwuznaczność, czy wieloznaczność wypowiedzi, niż w słowie drukowanym. W epoce znacznie wyprzedzającej radiofonię spostrzegli to Francuzi i wyrazili w przysłowiu: C'est le ton, qui fait la chanson.

Dodajmy do tego, że słowo mówione jest równocześnie słowem s ł u c h a n y m. I to także nie znaczy wcale: „masło maślane". — Jak wiemy zdolność percepcji słuchacza jest znacznie słabsza, niż zdolność percepcji czytelnika, a pamięć wzrokowa u większości ludzi jest silniejsza, niż pamięć słuchowa. Ponadto czytelnik ma zawsze możność powtórzenia przeczytanego słowa, czego pozbawiony jest słuchacz. Nie od rzeczy będzie też uwzględnić warunki, w jakich odbywa się słuchanie.

Słuchanie odczytu, lub wykładu w sali na ten cel przeznaczonej, w towarzystwie innych słuchaczy, świadomie chcących słuchać prelegenta, znacznie ułatwia percepcję. Także widok osoby przemawiającej, jej gesty, podkreślające i uwypuklające sens słów i zdań, pomagają do zrozumienia i zapamiętania treści.—Natomiast słuchanie niewidocznego prelegenta w obecności innych osób, nie zainteresowanych treścią audycji, jak to się często dzieje w domowych warunkach słuchania radia — utrudnia zrozumienie i zapamiętanie słowa słuchanego.

Wreszcie musimy w dziennikarstwie radiowym uwzględnić w wyższym stopniu, niż w czasopiśmie, przeciętny poziom umysłowy słuchacza i, aczkolwiek nie możemy równać poziomu naszych audycji do poziomu najprymitywniejszego odbiorcy, to jednak musimy się liczyć z tym, że radio, przemawiające do wszystkich równocześnie, w większości wypadków nie przemawia do ludzi intelektualnie wyrobionych, dla których słowa spoza zespołu określeń codziennych, najprostszych zjawisk, mają jednaki, ustalony sens i wagę. Dla olbrzymiej większości istnieje cała masa słów „trudnych" — nie koniecznie zapożyczonych z obcych języków — nie posiadających ściśle sprecyzowanego znaczenia i określonej wagi.

Dla ilutracji przytoczę zupełnie świeży przykład nieporozumienia, powstałego na tle nie dość precyzyjnego uświadomienia sobie ciężaru gatunkowego polskich słów i idiomów. — Przed paru tygodniami byłem na pewnym zebraniu społecznym, na którym jeden mówca zarzucił drugiemu, że „albo mija się z prawdą, albo nie dość dokładnie formułuje swe myśli". Zaczepiony w ten sposób, z zawodu nauczyciel szkół powszechnych, obraził się. Ale o co? — Zgodził się, że mógł się „minąć z prawdą" przez nieświadomość, lecz wyprasza sobie, aby mu zarzucano „niedokładność", gdyż uważa się za człowieka sumiennego i cieszy się powszechnie taką opinią. — Słowa powodujące nieporozumienie były polskie, a jednak ich sens i waga nie były jednakowo odczuwane przez obie dyskutujące strony.

* * *

W tak krótkim szkicu nie ma możliwości wyczerpująco przedstawić wszystkie rodzaje ukształtowania treści w formę, właściwą technice publikacji radiowej, ani nie sądzę, aby podjęcie takiego zadania było w ogóle rozsądne. Wspominałem już poprzednio, że wyodrębnienie zakresu pracy dziennikarskiej w radio nastręcza wiele trudności, gdyż rodzaj twórczości dziennikarskiej, jak w czasopismach zbliża się często do granic literatury pięknej, lub wręcz wkracza w nie w postaci felietonu, czy reportażu, tak i w radio zazębia się o inne rodzaje twórczości. Zatrzymamy się więc tylko na tym, co w praktyce radiowej jest u w a ż a n e za pracę dziennikarską i wchodzi w zakres dziennikarskich działów programowych.

Na pierwszym miejscu postawić tu należy t.zw. „dziennik radiowy" (angielskie „news"), czy też przegląd tygodniowy, reportaż (w różnych odmianach: odczytywany w studio, lub opowiadany wprost z terenu zdarzeń), przeprowadzenie rozmowy przed mikrofonem z interesującą z jakichś względów osobistością, lub wieloma osobami. Oczywiście nie wyczerpuje to wszystkiego, nie wyłącza np. mówionego felietonu, recenzji, lub rodzajów audycji jeszcze nie znanych, które jakiś nowy talent radiowo-dziennikarski powoła do życia. — Cokolwiekbyśmy jednak obmyślili, jako nowy rodzaj audycji, forma jej będzie zawsze musiała się liczyć z właściwościami radia, pobieżnie i sumarycznie przedstawionymi wyżej.

Najprostszą formą jest forma „dziennika radiowego", gdyż najprościej sformułowane i n f o r m a c j e o f a k t a c h są formą najlepiej rozumianą.

Obserwacja słuchacza wskazuje, że fakt, k o n k r e t n e z d a r z e n i e najsilniej i najtrwalej do niego przemawia. To też dziennikarstwo radiowe unika publicystyki i zawiłości intelektualnych.

Dla czego kładziemy taki nacisk na fakty? — Gdyż fakty są same w sobie czymś prawdziwym. Czasem fakt może być ilustracją fałszywej prawdy, lecz sam przez się jest obiektywną prawdą. Mikrofon zaś, jakby to można efektownie określić, posiada instynkt dążenia do prawdy.

Niedawno przybyły człowiek z Kraju podzielił się ze mną takimi obserwacjami: — Radiofonii krajowej nikt nie wierzy, gdyż przedmiotem jej jest wroga agitacja, przekręcająca fakty; „Głosu Ameryki" słuchają wszyscy, gdyż przedmiotem jego jest znajdująca oddźwięk, propaganda, lecz wymowa faktów przezeń podawana osłabiona jest właśnie tym samym propagandowym zabarwieniem; autorytet zaś posiadają audycje BBC, gdyż z równym obiektywizmem podają fakty przyjemne dla słuchacza, jak i nie przyjemne, a o sprawach brytyjskich mówią również z tego samego obiektywnego stanowiska.

Wydaje mi się, że z tych trzech opinii, bardzo trafnie sformułowanych, wysnuć można całą teorię dobrej pracy dziennikarsko-radiowej.

Ponieważ audycje BBC znalazły tak pochlebną opinię w Kraju, nie będąc dlań bynajmniej najprzyjemniejsze, warto zbadać na czym polega tajemnica ich powodzenia. — Podstawową ich cechą jest dążenie do najdokładniejszego przedstawienia faktów, a gwarancją dobrego spełnienia tych dążeń jest zupełna niezależność i samodzielność kierownictwa działu informacji.

Na czele służby informacyjnej stoi Chief Editor, posiadający do pomocy liczny sztab fachowy, podzielony na fachowe działy, pracujące również samodzielnie pod ogólnym jego kierownictwem. Źródłem informacji są agencje publiczne i sieć własnych korespondentów. Dzięki temu systemowi, każda wiadomość poddawana jest krzyżowemu sprawdzaniu i często jeszcze dodatkowemu uzgodnieniu z instytucjami fachowymi, lub — w sprawach polityki państwowej — z rządem, który jednak nie posiada na bieg tej pracy żadnego bezpośredniego wpływu. Każda omyłka, co zdarza się niezmiernie rzadko, jest natychmiast lojalnie prostowana.

Jednakże BBC nie ogranicza się do suchego podawania faktów. Fakty bywają komentowane, lecz tylko w jednym kierunku — jeśli się mówi co się stało, to mówi się także j a k się to stało. Nie mówi się natomiast d l a c z e g o się tak stało. Oczywiście nie w takich wypadkach, kiedy na pytanie d l a c z e g o można odpowiedzieć powołaniem się na prawo fizyczne, pewnik matematyczny, lub jakieś bezsporne kryterium.

Jeśli natomiast mówi się „dla czego" w sprawach politycznych, lub innych, których interpretacja może być zależna od przekonań komentatora, przytacza się zawsze r ó ż n e opinie, aby słuchacz nie czuł się zmuszony do przyjęcia narzuconego stanowiska. Sam sposób ogłaszania wiadomości jest prosty, przejrzysty i beznamiętny, aby uczuciowa barwa słów nie sugerowała słuchaczowi stosunku do słyszanej wiadomości.

Ta zasada obiektywnego ustosunkowania się do własnej pracy, wymaga od dziennikarza radiowego wysokiego poczucia odpowiedzialności za nią i za formę jej podania słuchaczowi.

Ten ilustracyjny przykład dziennikarskiej pracy BBC i autorytetu, jakim się cieszy u słuchacza niech starczy za szczegółowsze roztrząsanie teoretyczne.

Dla porządku dodać tu trzeba, że w ostatnich latach społeczeństwo brytyjskie miało wiele zastrzeżeń w sprawie obiektywizmu BBC w wielu sprawach. Chodziło po prostu o przenikanie wpływów komunistycznych i przemycanie poglądów bolszewickich przez niektórych pracowników. Powołano komisję publiczną do zbadania tych spraw. Fakt takie reakcji społeczeństwa potwierdza żywotność zasad wyżej scharakteryzowanych.

W dziedzinie zasad radiofoniczności tekstu i radiofoniczności interpretacji dotknąłem zaledwie kilku zasadniczych punktów, których celem było jedynie zasygnalizować różnice i podobieństwa zawodowe oraz charakterystyczne właściwości i wymagania techniczne tego działu pracy. Omówienie szczegółowe zasad radiofoniczności tekstu i radiofoniczności intepretacji wymagałoby osobnych, wyłącznie tym tematom poświęconych, rozważań, gdyż dziedziny te są już dość dobrze znane i opracowane w zawodzie radiowym.

Ktoś o praktycznych cechach umysłu napewno jednak zechce zapytać: jakież zatem specjalne kwalifikacje powinien posiadać dziennikarz radiowy?

Odpowiem na to: te wszystkie, jakie powinien posiadać każdy inny dziennikarz, to znaczy przede wszystkim — talent dziennikarski na który składa się wiele różnorodnych elementów psychicznych i umysłowych plus świadomość posługiwania się innymi środkami wyrazu tj. słowem mówionym i słowem słuchanym. Reszta sama konsekwentnie z tych warunków wyniknie.

Zdzisław Marynowski

dziną utrzymania. Najczęściej ci adwokaci pracują (jeszcze gdzieindziej.

Teraz podam za ‚La Croix‘ fakty, wybrane z archiwum trubunału Roty.

KILKA PRZYKŁADÓW

Pewna dama rzymska zaskarżyła przed Rotą ważność swego małżeństwa, sama opłaciła adwokata i złożyła poważną sumę do kasy trybunału. W ciągu procesu straciła cały majątek, zwróciła się tedy z prośbą o przyznanie jej prawa ubogich, co jej zostało przyznane. Adwokata opłacił Trybunał, a jej zwrócono nawet całą sumę wpłaconą poprzednio do kasy Trybunału.

Młoda hrabianka z bogatej rodziny włoskiej wyszła za mąż za księcia. Małżeństwo pobłogosławił jeden z kardynałów, ślub odbył się bardzo uroczyście. Po kilku latach współżycia, nie znalazłszy szczęścia w tym związku, księżna zwróciła się o uznanie jej małżeństwa za nieważne, podając jako przyczynę — przymus wywarty przez jej ojca, by wzięła ślub z księciem. Po dokładnym, jak zawsze, zbadaniu całej sprawy św. Rota odrzuciła wniosek nieważności.

Robotnik włoski, który nie mógł ponieść kosztów procesu, uzyskał na swą prośbę prawo ubogich. Małżeństwo jego zostało uznane za nieważne, a Stolica Apostolska opłaciła koszta procesu w sumie 72,649 lir.

Chrześcijanka Murzynka z centralnej Afryki Joanna R. ujrzała przed domem ojca młodego murzyna z pięcioma krowami. Zgodnie z obyczajem kraju, był to prezent przedślubny złożony ojcu wybranej. Mimo, że ojciec był z daru zadowolony, Joanna odmówiła małżeństwa i uciekła. Schwytano ją jednak, przywiązano do słupa i bito tak długo, aż się zgodziła na to małżeństwo. W sam dzień ślubu dziewczyna jeszcze wyjawiła opór, tak, że ją biciem doprowadzono do misjonarza, który, nic o niczem nie wiedząc, udzielił błogosławieństwa jej małżeństwu. Wkrótce potem Joanna uciekła z domu i opowiedziała o wszystkim misjonarzowi. Proces znalazł sie na wokandzie św. Roty. Przyznano prawo ubogich, a małżeństwo uznano za nieistniejące i dziewczyna otrzymała sprawiedliwość.

Murzyn z Afryki prosił o częściowe zwolnienie z należnych opłat w swej sprawie skierowanej do św. Roty, a część pieniędzy nadesłał; odpowiadały one wartości 1,400 lir. Otrzymał uznanie małżeństwa za nieważne, a Stolica św. zapłaciła resztę należytości w sumie 33,308 lir.

Została złożona do św. Roty sprawa małżeństwa potomka starej książęcej rodziny włoskiej. Młody książę, który nosił znane nazwisko i odziedziczył wielki majątek, zawarł związek małżeński z młodą osobą pochodzącą z kół wysokiej arystokracji. Byli bardzo szczęśliwi do czasu, gdy niewierność szczęście to zniszczyła. Trybunał papieski był zasypany korespondencją wybitnych osób polecających tę sprawę. Dokonano obiektywnego wglądu, poczem padło słowo ‚nie‘ jako cała odpowiedź.

W sprawach małżeńskich opinia ludzi traci z przed oczu istotną myśl Bożą, która w swych ustawach prawa naturalnego, w Objawieniu i w decyzjach Kościoła ma na względzie cel instytucji małżeństwa. Ma ono zapewnić potomstwu opiekę i stałe wychowanie. Sprawa jednostek, nieraz wielkiej ich tragedii, nie może zasłonić istotnej podstawy samej instytucji rodziny, a podstawą tą jest nierozerwalność związku małżeńskiego.

Wszystkie sądy kościelne muszą, w granicach ludzkich możliwości, badając obiektywnie sprawę małżeńską określić jedno: a mianowicie, czy w pierwszej chwili małżeństwo było ważne czy nie.

Ilość spraw tak opłacanych przez strony jak i spraw z udzielonym prawem ubogich wzrasta bardzo od 1947 r.

Między latami 1936-1947 przeciętna roczna spraw była 75 do 76, a w roku 1948 liczba ta wyniosła 124, w roku 1949 — 137 a z tych ostatnich uznano za nieważne 51 małżeństw.

Wzrasta też liczba spraw z udzielonym prawem ubogich. I tak między 1936 a 1947 rokiem spraw tych było przeciętnie rocznie 34 do 35, ale już w roku 1948 Stolica Apostolska opłaca 44 procesy a w 1949 opłaca 42.

Świat dzisiejszy nie może zrozumieć, że są ludzie i instytucje, w których pracujący mają poczucie odpowiedzialności przed Bogiem, dzięki czemu sumiennie spełniają Rzymska, my wszyscy katolicy swe zadania.

Taką instytucją jest św. Rota Rzymska, my wszyscy katolicy mamy bronić jej czci przed oszczerstwem wrogów i niedowiarków, choćby używali oni wielkiego imienia: chrześcijanin-katolik.

X. WŁODZIMIERZ CIEŃSKI

WŚRÓD KSIĄŻEK

O POWIEŚCI ANGLOSASKIEJ

WŚRÓD powodzi pisanych na sztuki i na tuziny recenzji z książek, jakie pojawiają się w dziesiątkach czasopism angielskich, nie dając żadnego ogólnego obrazu wydarzeń literackich, z radością przeczytałem w miesięczniku katolickim „Month“ świetny, syntetyczny artykuł Antonii White o powieściach anglosaskich, które ukazały się w ciągu ostatniego pół roku. Trzeba dodać, że autorka — niezależnie od własnej twórczości pisarskiej, o której pisaliśmy w nrze 23/154 ŻYCIA — jest stałą recenzentką literatury pięknej. Jakież jest jej ogólne wrażenie o prądach nurtujących obecnie w powieści angielskiej?

Przede wszystkim rzuca się w oczy olbrzymi, ale raczej zewnętrzny wpływ wojny i polityki na powieści ukazujące się teraz. W gruncie rzeczy niektóre książki, określone przez autorów jako powieści, są właściwie z grubsza przybranym w formę powieściową dziennikarstwem, politycznym pamfletem lub po prostu wyzyskaniem przez korespondentów wojennych odpadków dawnego materiału informacyjnego lub jego pospiesznym przetworzeniem.

Inną cechą charakterystyczną twórczości powieściowej ostatniej doby jest pogłębiający się wpływ nowoczesnej psychologii na coraz liczniejszych autorów angielskich. Po prostu trudno jest znaleźć powieść nie dotkniętą w mniejszym lub większym stopniu teoriami Freuda lub własnymi wariacjami pisarzy na tematy freudowskie. Żargon psychoanalizy zyskał prawo obywatelstwa w utworach powieściowych, nawet w zwykłych thrillerach (czyli według proponowanego przeze mnie przekładu — „dreszczowcach“). Więcej nawet w przedstawianych przez powieściopisarzy konfliktach i dramatach międzyludzkich podświadomość zdaje się odgrywać większą rolę niż czynniki psychiczne świadome, poddane samokontroli. Nawet autorka głośnego best-sellera „Rebecca“, Daphne du Maurier, która poprzednio nie zdradzała żadnego zainteresowania psychologią głębinową, dziś — w powieści „The Parasites“ — wykazuje, i to nie bez pewnej zręczności, znajomość techniki psychoanalitycznej. Także Malcolm Muggeridge w swej dość dowcipnej satyrze „Affairs of the Heart“ zapuszcza się w labirynty interpretacji freudiańskich, obracając się w nich jak słoń w składzie porcelany.

Trzecie ustalenie Antonii White dotyczy nadmiernego i niczym nieusprawiedliwionego rozdymania powieści do olbrzymich rozmiarów. Tendencja ta przejawia się głównie w Ameryce. W ciągu zaledwie dwóch tygodni autorka otrzymała do zrecenzowania cztery powieści, z których każda obejmowała ponad 700 stron gęstego druku, przy czym tylko jedna z nich zawartością swą usprawiedliwiała długość: pozostałe były spuchnięte i bezkształtne — objaw zdradzający nie pilność artystyczną, lecz rozlazłość i lenistwo.

W dalszym ciągu swego szkicu autorka zastanawia się nad pytaniem, które z około czterdziestu przeczytanych ostatnio powieści zwróciły jej uwagę jako interesujące i godne zapamiętania. Za podstawę oceny powieści wojennych i politycznych przyjmuje stosunek osiągnięcia pisarskiego do surowego materiału, jakim rozporządzał powieściopisarz. Kataklizm historyczny, czy przewrót społeczny — to tylko materiał dla prawdziwego pisarza. Jako artysta musi on przetworzyć go w swej wyobraźni, dokonać wyboru i wśród tak spreparowanych realiów pokazać ludzki problem będący przedmiotem powieści.

Antonia White, oceniając powieści polityczne i wojenne, zadawała sobie następujące pytania: czy temat trzyma się kupy niezależnie od oprawy — czy też efekt utworu mógł być osiągnięty jedynie przez przedstawienie wojny lub spraw politycznych? Dla zilustrowania tej metody autorka powołuje się na „Sedno sprawy“ Grahama Greene‘a: problem tej powieści jest niezależny od wojennej oprawy i tła. Zarówno wydarzenia wojenne jak realia zachodnio-afrykańskie stanowią dla Greene‘a jedynie dekoracje rozstawione w celu pokazania dylematu religijno-moralnego majora Scobie.

Tylko kilka z napisanych ostatnio powieści anglosaskich wytrzymuje wyższą próbę. Należy do nich książka Jamesa Gould Cozzena pt. **„Guard of Honour“**. Amerykańska baza lotnicza służy tam tylko za soczewkę, w której zbiegają się różne ludzkie powiązania i konflikty. Powieść ta, choć bardzo długa, jest tak uderzająco wiarogodna, że czytelnik, porwany jej tokiem, bez żalu do autora przedziera się przez labirynty technicznych szczegółów i amerykańskiego slangu.

Powieść Roberta Kee **„The Impossible“** wytrzymuje też próbę, gdyż spoza bardzo osobistego i aktualnego wątku o więźniu uwolnionym z niemieckiego obozu, wyziera bardziej uniwersalna myśl: że wolność może być bardziej niebezpieczna od niewoli dla kogoś, kto uległ psychozie więziennej.

Powieść Philipa Woodruff **„The Island of Chamba“**, opowiadająca o imaginacyjnym wschodnim państewku, utworzonym po wycofaniu wojsk brytyjskich i nagle włączonym w międzynarodowe współzawodnictwo naszych czasów, uznaje Antonia White za powieść z prawdziwego zdarzenia. Nie jest to bowiem traktat polityczny, choć rysy nadane owemu państwu wyraźnie wskazują na jedno z księstw feudalnych Indii. Autor pokazuje wpływ wydarzenia historycznego na ludzi i daje przekonywujący obraz Wschodu i Zachodu w ich wzajemnych stosunkach — podobnie jak mamy to pokazane w **„Passage to India“** Forstera lub w **„Hindoo Holiday“** Ackerley‘a.

Wycofanie się Brytyjczyków z Indii jest również tematem wybitnie wnikliwego studium o pewnej rodzinie anglohinduskiej, ujętego w formę powieści **„Time is So Short“** przez pisarza nazwiskiem Parr Cooper. Mimo przerostów sentymentalizmu i pewnych uproszczeń, dzieło to wykazuje znaczną siłę wyrazu, ujawniającą się najprostszymi, najoszczędniejszymi środkami artystycznymi. Charakter każdej postaci wysuwa się wyraźnie i pozostaje w pamięci, podczas gdy większość bohaterów znacznie ambitniejszych z pozoru, lecz w gruncie rzeczy tylko pretensjonalnych utworów przeczytanych przez recenzentkę w tym czasie, zredukowała się w jej wspomnieniu do rozmiarów z gruba skreślonych typów.

Tematy wojny i przewrotu wewnętrznego poruszone zostały w sposób bardziej imaginacyjny i również przez dwóch innych powieściopisarzy, z których każdy użył zresztą odmiennej techniki, innego stylu i wykazał inny sposób podejścia do spraw przedstawionych. Chodzi tu o wybitną pierwszą powieść Anthony West‘a **„On a Dark Night“** i o **„Down the Long Slide“** Toma Hopkinsona. Pierwszy z tych utworów jest za długi, gdyż autor — bynajmniej nie leniwy, albo niedbały, lecz właśnie zbyt gorliwy — usiłował wsadzić zbyt wiele do jednej książki. Pragnął pokazać w niej problem winy i odpowiedzialności człowieka za wojnę — sięgającej aż poza grób: w ohydne piekło obecnej rzeczywistości. Utwór Hopkinsona nie jest, ściśle biorąc, powieścią, lecz nowelą w znaczeniu kontynentalnym. Ta historia ucieczki starego rewolucjonisty Brusiłowa od prawdziwych i wyimaginowanych wrogów do obozu koncentracyjnego po „bezpiecznej“ stronie granicy jest świetnie napisana. Więcej nawet: posiada ona wieloznaczność, charakteryzującą najlepsze dzieła sztuki. Uciekinier Brusiłow jest nie tylko typowym zbiegiem zza żelaznej kurtyny: jest także symbolem streszczającym poczucie winy w każdym człowieku, który rzuca się do ucieczki, nie sprawdziwszy nawet, czy wiadomość „wszystko się wydało“ jest prawdziwa.

Dwie powieści, które wywarły na Antonii White najsilniejsze wrażenie, nie mają nic wspólnego z wojną i polityką. **„The Young May Moon“** P. H. Newby‘a jest dziełem zdyscyplinowanego i dojrzałego talentu. Autorka szkicu podkreśla, że do rzadkości należy obecnie zetknięcie się z powieściopisarzem tak świadomie i celowo operującym materiałem i tak umiejętnie osiągającym postawiony sobie cel artystyczny. Newby potrafił stworzyć powieść, która jest jednocześnie współczesna i ponadczasowa. Stworzył świat własny z cegiełek współczesności: ze środowiska banków, piekarń, podmiejskich ulic. To, co pokazał ma szczególne właściwości marzenia sennego, które przywodzą na myśl niedocenioną — zdaniem autorki — powieść Geralda Brennana pt. **„Jack Robinson“**. Tematem książki jest stosunek pomiędzy ojcem i jego piętnastoletnim synem. Szczególna wartość utworu polega na umiejętności ujawnienia owych nagłych chwil wzajemnego zrozumienia, gdy wnętrze jednego człowieka objawia się drugiemu — na krótko, zanim mgły egoizmu i fałszywych osądów nie odgrodzą ich znowu.

Drugą wybitną powieścią jest **„Olivia“**, napisana przez autorkę używającą pseudonimu o tym samym brzmieniu. A. White utwór ten stawia na pierwszym miejscu wśród wszystkich książek przeczytanych w ciągu ostatniego roku. Jest to — jak twierdzi — dzieło, do którego powraca się wiele razy. Trochę dłuższa od długiej noweli (t. zw. w literaturze anglosaskiej „long short story“,) powieść ta opisuje wydarzenia sprzed przeszło 50 lat i należy do rodzaju książek, jakie autor może napisać tylko raz w ciągu całego życia, gdyż dotyczą jednego tylko, niezapomnianego przeżycia. W przypadku „Olivii“ przeżycie to odtworzone jest z taką siłą i wyrazistością, że czytelnik przeżyje na nowo jak swoje własne. Utwór napisany jest przy tym z absolutną szczerością i opanowaniem: jest ekstraktem życia i dlatego wywiera szczególny wpływ na czytelnika usposobionego do podobnych przeżyć. Panna White nie jest pewna, czy mężczyźni są zdolni przejąć się tym utworem w tym stopniu co kobiety, zaleca jednak każdemu przeczytanie tego arcydzieła narracji i syntetycznego wnioskowania.

Jak widać ze streszczonych wyżej uwag angielskiej krytyczki, plon dobrych powieści w świecie anglosaskim nie jest dzisiaj obfity. Wydaje się, że czas niepewności i powszedniego trudu nie sprzyja ich powstawaniu.

(sp.)

NOWE FILMY

AMERYKAŃSKI I ANGIELSKI

„NIEBEZPIECZNA MIŁOŚĆ“ („To Dangerous to Love“)

„SALA TAŃCA“ („Dance Hall“)

OKAZUJE SIĘ, że zajęcie recenzenta filmowego ,na które cieszyłem się z góry (bo to i bezpłatne bilety — co prawda tylko po jednym na krytyka —, i premiery prasowe i możność wypisania się na interesujący temat) może być bardziej kłopotliwe od zawodu kelnera. Kelner podaje klientowi zazwyczaj świeże i posilne potrawy, a w każdym razie nie ma obowiązku ich krytykować, choćby sam miał zdecydowaną odrazę do takiego na przykład „game pie“ (specyficznie angielski pasztet z dziczyzny, który amatorzy jadają dopiero wtedy, gdy „zajeżdża“ na 10 metrów i gdy stada much obsiądą go na dobre). Gorzej z krytykiem filmowym: Skoro otrzymuje zaproszenia na premiery prasowe, musi sam każdy film powąchać i opisać, co nie zawsze wychodzi mu na zdrowie. W dodatku ma nie tylko prawo, ale obowiązek krytykować towar, który przechodzi przez jego oczy i ręce.

Weźmy dla przykładu filmy ostatniego czasu.

Pasztet firmy Warner Bross, być może jadalny w Ameryce, wydaje mi się absolutnie niestrawny dla Polaków. Nazywa się to niebezpieczna miłość“, a po ichniemu „To Dangerous Love“. Zamiar był dosyć ciekawy i można było coś z tego zrobić, ale użyto kiepskich produktów i podlano wszystko lukrecją. Chodziło niby o pokazanie kulisów działania ławy przysięgłych w sądownictwie amerykańskim i podparcie twierdzy anglosaskiego „home“, którego nie wolno lekkomyślnie rozwalać. Niejaki Ernest Kraigh oskarżony jest o zamordowanie swej żony w celu poślubienia przyjaciółki. Ponieważ sprawa jest szeroko omawiana przez prasę, sędzia decyduje odizolować całą ławę przysięgłych od świata na czas trwania procesu. Dwanaście przypadkowo dobranych osób zostaje internowanych w hotelu: nie wolno im dyskutować o sprawie, gazety otrzymują po wycięciu sprawozdań procesu etc. etc. Wśród przysięgłych znajduje się pani Terry Scott (Ginger Rogers), taka sobie kobieta, separowana z mężem i żonaty oraz dzieciaty mister David Campbell (Denis Morgan). Oboje zaczynają pałać do siebie wzajemną sympatią; prowadzą banalne rozmowy, wyznają sobie miłość, ale ona jest „bardzo uczciwa“, więc zmusza go do przyrzeczenia, że po skończeniu sprawy spróbuje solidnie żyć ze swą żoną i córkami przez sześć miesięcy; jeśli próba się nie uda, to... trudno, ona nie może być okrutna („Terry is only human“— jak głosi urzędowe streszczenie filmu). W międzyczasie toczy się sprawa — widz polski wikła się w niej nie znając specyficznej procedury amerykańskiej, która np. (czy aby na pewno?) wymaga jednomyślności przy uchwalaniu werdyktu ławy przysięgłych. Okazuje się, że owego dnia, gdy żona Kraigha spadła z urwiska, był deszcz: wypływają coraz nowe dowody niewinności oskarżonego, gdyż zmarła żona najwidoczniej poślizgnęła się podczas kłótni i spadła w przepaść przypadkowo. Mimo to trzech członków ławy głosuje za winą oskarżonego. Dochodzi do kłótni i prawie bójek między przysięgłymi, ale ostatetecznie szlachetnej pani Terry — stawiając za przykład swą własną rezygnację (warunkową) ze szczęścia (wątpliwego, przynajmniej dla mnie) z panem Morganem — udaje się przekonać upartych kolegów z ławy i Kraigh wychodzi z sądu uniewinniony.

Samo streszczenie demaskuje prymitywizm filmu: namiastki moralności, namiastki miłości, namiastki problemów; może nawet chciano je pokazać, ale utonęły w nudnej procedurze i w lukrecji, której na imię „my home is my castle“ (na sześć miesięcy). Film kończy się bowiem rozstaniem zakochanej (nie bardzo wiadomo dlaczego, chyba z nudów), pary rozstaniem pełnym uścisków i „półbraterskich“ pocałunków, które są dość czułe, aby nie budzić żadnej wątpliwości co do wyniku półrocznej próby i nędznego losu małżonki i biednych córeczek pana Morgana. Szkoda ,że tak zdolną aktorkę jak Ginger Rogers użyto do tak bladego (i w dodatku bardzo „gadanego“) filmu, szkoda, że reżyser B. Windust nie odrzucił scenariusza pani Edith Sommer, szkoda, że ta ostatnia nie czuje problemów moralnych, szkoda, że film wyprodukowano. Nie radzę Polakom konsumować tego „game pie‘u“.

Nie bardzo strawna jest także druga podana nam potrawa (tym razem brytyjska — produkcji Ealing Studios) pod nazwą „Dance Hall“. O ile tamtą przesłodzono lukrecją, o tyle tę grubo przepieprzono.

Nie warto streszczać filmu, którego akcja rozgrywa się głównie w angielskiej sali tańca, gdzie cztery dziewczęta z fabryki poszukują sukcesów w zawodach tanecznych mężów i erotycznych wrażeń. Nie warto dlatego, że trzem autorom scenariusza (sic!) nie udało się nadać filmowi zdecydowanego wyrazu: nic się tu właściwie nie klei, wątki przygód (a raczej naskórkowych wrażeń) bohaterów i bohaterek wikłają się, hałaśliwy jazz aż dwóch orkiestr (podobno najpopularniejszych na tej wyspie) dominuje nad filmem i niemal ogłusza widza, który może zresztą jeśli chce podziwiać zręczne sztuczki reżyserji (Charles Crichton) i efektowne „mordobicie“ pomiędzy lwami dancingowymi (Bonar Colleano i Donald Houston — ten ostatni odrażająco przydki i do tego zezowaty), zrobione według „najlepszych“ wzorów amerykańskich Z młodych aktorek, które wciągnięto do filmu (jak powiada krytyka angielska „zmobilizowano“ — pospołu z legionem gwiazdek i gwiazdeczek) najlepiej chyba zapowiada się 19-letnia Natasha Parry (oczywiście pseudonim, stylizowany à la Russe) o twarzyczce nieco zaspanej, ale — jak na Angielkę — nie pozbawioną uroku. Podejrzewam, że producenci, którzy najwidoczniej stawali na głowie, by film uczynić kasowym, chcieli zawrzeć w nim także coś w rodzaju ostrzeżenia pod adresem młodzieży uczęszczającej zbyt namiętnie do sal tańca. Oczywiście zamiar ten (o ile wogóle istniał) rozpłynął się w oparach dymu, alkoholu i w piekielnym zgiełku „Dance Hall‘u“.

(sp)

LISTY DO REDAKCJI

W SPRAWIE OŚRODKA KSIĘŻY MARIANÓW POD HEREFORD

Dnia 16 czerwca 1950 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Ze względu na doniosłość rzeczy uprzejmie upraszam o łaskawe umieszczenie w Waszym poczytnym piśmie niżej podanego wyjaśnienia w sprawie domu zakonnego, który się zakłada w Low Bullingham pod Hereford, o czym jest mowa w Nr. 24(155) ŻYCIA z dnia 11 czerwca br. na stronicy 3.

Nie ulega wątpliwości, że Szanowna Redakcja, umieszczając bezimienny artykuł o Instytucie pod Hereford, miała szlachetny zamiar podkreślenia zasług naszego Zgromadzenia, to jest Księży Marianów, lecz stało się to bez naszej wiedzy i wkradły się poważne niedokładności. Dziękując za życzliwość, prostujemy nieścisłą wiadomość.

Dom w Bullingham jeszcze nie jest ostatecznie nabyty przez Księży Marianów, chociaż rokowania już zakończone i wiele kosztu oraz trudu już włożono w odnowienie go. Materialne zasoby Marianów nawet w Ameryce są bardzo ograniczone i obecny ich stan stawia pod znakiem zapytania, czy szkoła będzie mogła istnieć. Prowincje bowiem nasze bynajmniej nie są duże i borykają się z wielkimi trudnościami materialnymi.

Zgromadzenie nasze całe jest nawskroś religijne katolickie i nie zadaje sobie celów politycznych, ani nie ogranicza się do czasowych, lub miejscowych programów, chociaż pożądanych dla jednego narodu, jednak bolesnych dla innego, i niepożądanych dla kraju, w którym to Zgromadzenie zakłada swoje instytucje.

To też nasza Rada Jeneralna na posiedzeniu swoim 20 grudnia 1949 roku orzekła i zaprotokułowała: „Myśl Rady Jeneralnej jest, o ile możności, stworzyć w Anglii juwenat, czyli szkołę apostolską Zgromadzenia naszego, zarówno dla młodszych, jak i dla starszych, w celu urobienia powołań kapłańskich i zakonnych“. Nie zakreślamy sobie planów ponad nasze siły i nie obiecujemy więcej niż możemy dotrzymać, lecz staramy się wszystkich naszych sił użyć na możliwie największą korzyść narodu i Kościoła, woląc więcej uczynić, niż obiecać, bez uszczerbku komukolwiek.

Z najgłębszym szacunkiem

† **Piotr-Franciszek Buczys, M.I.C.**
Przełożony Jeneralny

Rzym, via Corsica 1.

O KSIĄŻCE GIERTYCHA

Szanowny Panie Redaktorze,

W sprawie ogłoszonej przed dwoma miesiącami subskrypcji powieści Jędrzeja Giertycha p.t. „W Polsce między wojnami“ ukazał się już szereg otwartych listów. Wszystkie — jakże słusznie — wypowiadają się za poparciem subskrypcji, idącej stale naprzód, ale wciąż jeszcze zbyt wolno. Czuję, że powinienem również zabrać w tej sprawie głos.

Tak się bowiem złożyło, że jestem jedyny, który przeczytał powieść Giertycha w rękopisie z punktu widzenia krytyki literackiej. Pozatem oddawna zajmuje mnie każda akcja, związana z wydaniem książek polskich na emigracji. Historia „Książki o Kołymie“ ś. p. A. Krakowieckiego wykazała, że subskrypcja jest jednym z niewielu skutecznych sposobów wydawniczych w obecnym trudnym czasie. Wykazała również, że przez subskrypcję można dać czytelnikom nie tylko polskim, lecz i cudzoziemskim wartościową i potrzebną książkę.

To, że następna z kolej subskrypcja idzie powolniej zamiast szybciej, po pierwszym tak pomyślnym doświadczeniu, jest zjawiskiem niepokojącym, które należy przezwyciężyć. Subskrypcja to jedyny na razie sposób dostarczenia czytelnikom na wychodźtwie książki taniej po cenie kosztów. Jeżeli ta droga zawiedzie — cóż nam pozostanie? Chyba zrezygnować z poznawania dzieł, powstających teraz na emigracji i dających najbardziej aktualną dla nas strawę?

Powieść Giertycha jest niewątpliwie godna przeczytania. Jest to utwór, jakiego dotąd nie mieliśmy na emigracji: rozległy powieściowy obraz 20 lecia naszej niepodległości. Warto go poznać choćby przez ciekawość, jak takie trudne bez wątpienia zadanie zostało wykonane. Jestem pewien, że ciekawość ta nie będzie zawiedziona i że czytelnicy — czy zgodzą się z treścią dzieła, czy nie zgodzą — będą nim poruszeni.

Chciałbym na zakończenie zwrócić uwagę na pewien szczegół praktyczny. Subskrypcyjna cena książki Giertycha: 15 szylingów — może się wydawać wysoka. „Książka o Kołymie“ kosztowała w subskrypcji 6 szylingów. Musimy sobie jednak uprzytomnić, że powieść Giertycha będzie miała około 800 stron druku i wyjdzie w trzech grubych tomach — czyli, że cena pojedynczego tomu wyniesie tylko 5 szylingów.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania,

Wit Tarnawski

Brighton, w czerwcu.

(Adres dr. Tarnawskiego: Polish Rehabilitation Centre, 99, Marine Parade, Brighton, Sussex).

ODPOWIEDZI REDAKCJI

W. Leszczyński, Kewanee, 111., USA: Dziękujemy za uwagi. Nie możemy zamieścić z powodu zbyt ostrego tonu wypowiedzi.

X. J. Langman, Rzym: Dziękujemy, zamieściliśmy.

K. Sobota, Polish Hostel Mepal: Autorem notatki jest prawnik, z zawodu — przed wojną — adwokat. Napewno nie miał zamiaru dotknięcia prawników.

P. Malkiewicz, Londyn: Dziękujemy za uwagi, choć nie bardzo rozumiemy ich intencje. Zbyt drobna sprawa, aby nią zaprzątać uwagę czytelników.

Z. Bohdanowiczowa, Penrhos: List przyszedł już po wydrukowaniu numeru. Tłum. sonetu zamieszczamy.

T. Pliszka, Glasgow: Dziękujemy za uwagi. List Pana przekazaliśmy p. J. Giertychowi.

S. Czapliński, Brazylia: To jest opinia przyjaciela o przyjacielu, człowieka, który doskonale zna środowisko, o którym mowa, bo sam przez lata był jego członkiem. Uwag Pana nie możemy zamieścić nie tylko dla tego, że są ogromnie spóźnione, ale i dlatego, że zawierają czysto słowny protest wobec — faktu.

T. Dobrowolski, Londyn: Niestety, nie możemy zamieścić.

M. Lurczyński, Paryż: Narazie zamieścimy „Spotkanie“ i „Place Vendôme“.

J. Dokowska, Nottingham: List Pani przekazaliśmy p. J. Giertychowi.

W sobotę, dnia 1 lipca 1950 r. o godz. 7-ej popoł. w sali przy Katedrze Westminsterskiej (Westminster Cathedral Hall, Ambrosden Avenue, S.W.1. — dojazd do st. kol. Victoria) odbędzie się

UROCZYSTA AKADEMIA

ku czci

OJCA ŚWIĘTEGO PIUSA XII

zorganizowana staraniem Komisji Obchodu Roku Św.

Program:

Słowo wstępne — Jan Szułdrzyński,

Referat: PIUS XII a POLSKA — Dr Władysław Jelonek,

Pieśni — wykona Chór Polski pod dyrekcją Henryka Hosowicza.

Zakończenie akademii około godz. 8,15

Ze względu na obecność Pana Prezydenta R.P. prosimy o zajęcie miejsc do godz. 6,55.

Wstęp wolny. Prosimy o ofiary na Polską Akcję Katolicką w W. Brytanii.

INSTYTUT POLSKI AKCJI KATOLICKIEJ
w W. BRYTANII.

KRONIKA KULTURALNA

NAUKA

W Berlinie zmarł słynny psycholog niemiecki Ryszard Müller-Freinfels. Z licznych dzieł jego, oprócz prac poświęconych estetyce, duży rozgłos uzyskała „Psychologia narodu niemieckiego“. W roku 1948 Müller-Freinfels wydał powieść „Nie przeżyte życie“.

* * *

Usunięty za działalność komunistyczną z uniwersytetu paryskiego profesor Henri Vallon zainstalował się już na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, gdzie objął katedrę pedagogiki i psychologii dziecięcej. Działalność swą prof. Vallon rozpoczął od wygłoszenia publicznego odczytu pt. „Nauka a pokój“ i wykładu inauguracyjnego na temat „Psychologia a materializm dialektyczny“.

• • •

Przez ostatnie tygodnie obradowała w Sofii polsko - bułgarska komisja kulturalna pod przewodnictwem polskiego wiceministra, komunisty H. Jabłońskiego. Opracowała ona roczny plan wymiany kulturalnej, przewidujący wymianę stypendystów - studentów i naukowców — oraz szeroką współpracę w dziedzinie nauki, sztuki i kultury. Szczegóły tego planu nie zostały jeszcze opublikowane.

LITERATURA

Nakładem wydawnictwa St. Cukrowskiego ukazała się pierwsza w Polsce po wojnie publikacja poświęcona Goethemu. Przypuszczalnie jest to pierwszy przejaw wprawadzenia w życie na terenie wydawniczym ostatnio zawartej przez reżym umowy kulturalnej z komunistycznymi Niemcami. Autorem tej książki, zatytułowanej „Goethe“ jest Francuz Jean Marie Carré, profesor uniwersytetu w Lyonie, a ostatnio w Sorbonie, autor wielu studiów i prac literackich. Prof. Carré bawił w Polsce w roku 1926. Książka ta wydana była we Francji w 1927 roku pt. „La vie de Goethe“. Autorem polskiego przekładu jest Jerzy Gawroński. Nie jest to monografia naukowa, ale raczej vie romancée — zbeletryzowany życiorys niemieckiego poety, napisany lekko, barwnie i ciekawie. Widać, że autor świetnie opanował cały materiał biograficzny, wczuł się w atmosferę czasu i środowiska.

• • •

W numerze czerwcowym miesięcznika „Month“ ukazała się pierwsza część końcowych rozdziałów nowej powieści znanego pisarza katolickiego Evelyn'a Waugh pt. „Helena“. Jest to pierwsza powieść historyczna autora „Bridhead Revisited“ i „The Loved One“. Bohaterką jest matka cesarza Konstantyna, która odnalazła drzewo Krzyża Chrystusowego, urodzona — jak wynika z powieści — w Anglii. Fragmenty „Heleny“ ukazywać się będą w trzech kolejnych numerach „Month“, a w październiku książka ukaże się na rynku wydawniczym.

Nowy utwór Waugh'a posiada wszystkie cechy stylu tego wspaniałego stylisty: zwięzłość i żywość ujęcia, skrótowe, syntetyczne przeskakiwanie nad nieistotnymi z punktu widzenia autora partiami akcji i staranność opracowania. Waugh wykazuje w nowej powieści doskonałe opanowanie materiału historycznego, dającego czytelnikowi możność snucia analogii ze współczesnością. Zwraca uwagę bardzo ciekawe ujęcie problematyki chrześcijańskiej owych czasów przełomu — pod wieloma względami przypominających nasz własny wiek.

MUZYKA

W Nowym Yorku zmarł kompozytor niemiecki Kurth Weill, autor „Opery za trzy grosze“. Weill uciekł z Niemiec po dojściu do władzy Hitlera i osiedlił się na stałe w Stanach Zjednoczonych. Od roku 1943 był obywatelem amerykańskim.

FILM

W Neapolu został utworzony Katolicki Ośrodek Produkcji Filmowej. Program pracy Ośrodka obejmuje nakręcenie szeregu filmów dokumentarnych - katechetycznych, artystycznych, kulturalnych, naukowych i turystycznych.

• • •

Między państwowym przedsiębiorstwem „Film Polski“ a czechosłowackim „Filmem Państwowym“ została zawarta umowa o wprowadzeniu do Polski czechosłowackich filmów rysunkowych i kukiełkowych. Filmy te uważane są za bardzo dobre i często są nadzwyczaj zabawne; produkcja ich stoi na wysokim poziomie artystycznym i zdumiewa mistrzostwem technicznym.

Ś. P. MARC SANGNIER

W końcu maja br. zmarł w Paryżu w wieku 77 lat Marc Sangnier, pionier i inicjator idei demokracji chrześcijańskiej, założyciel „Sillonu“, prezydent honorowy M. R. P. Gorący katolik, przepojony dążeniem do sprawiedliwości społecznej, od wczesnej młodości odczuwał Sangnier powołanie pogodzenia chrześcijaństwa i demokracji. W roku 1894, mając lat 21, zakłada słynną organizację „Sillon“ zwołuje kongresy i tworzy koła studiów. W roku 1905 powstaje pismo codzienne „La Democratie“. Pewne sformułowania doktryny „Sillonu“ powodują potępienie tej organizacji przez papieża Piusa X w roku 1910. Sangnier z pokorą poddaje się wyrokowi Stolicy Apostolskiej, nie rezygnując jednak z realizacji swego powołania i nie zaprzestając walki o ideę sprawiedliwości społecznej. Sprawa, o którą walczył, wygrywa z czasem — Sangnier doczekał się nie tylko błogosławieństwa papieskiego, ale także ogromnej ekspansji chrześcijańskiej demokracji. Fr. Mauriac powiedział o Sangnier, że „miał on szczęście widzieć ogromne żniwo wyrosłe z bruzdy (sillon) wyoranej przed tylu laty“.

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

CZY OBRZĄDEK ŻYDOWSKI?

Na łamach katolickiego tygodnika angielskiego „The Tablet“ ukazał się artykuł dyskusyjny, podpisany nazwiskiem wyraźnie żydowskim, zawierający propozycję, by w Kościele katolickim stworzony został osobny obrządek dla Żydów. „Ecclesia Militans obejmuje 400 milionów dusz, pisze autor, może więc traktować sprawę nawrócenia Izraela z cierpliwością i spokojem ducha. Kościół czeka na to nawrócenie dwa tysiące lat, może więc z łatwością poczekać jeszcze parę stuleci. Ale w swej dobroci, mógłby, gdyby chciał, w bieżącym Roku Świętym, otworzyć furtkę i zapalić latarnię dla wskazania błądzącym wędrowcom drogi“.

Autor uważa, że narodziny państwa żydowskiego w Palestynie stwarzają warunki do nawrócenia się Żydów jako Żydów. W republice izraelskiej możliwa jest akcja misyjna, jak w każdym innym kraju. Można dziś zostać chrześcijaninem, nie przestając, w sensie narodowym być Żydem. Skończyła się epoka żydowskiej wędrówki, Żydzi mogą być dziś skłonniejsi, niż kiedykolwiek, do zerwania z wiarą Talmudu, jako religią wygnania i do nawrócenia ku Chrystusowi.

Owa latarnia, którą autor proponuje zaświecić — to jest stworzenie specjalnego obrządku dla Żydów. W obrządku tym, niektóre modlitwy, także w czasie mszy, te mianowicie, które w oryginale napewno, lub być może, były hebrajskie, mogłyby być wypowiadane po hebrajsku, — wśród nich Ojcze nasz, Zdrowaś Maria, psalmy i być może Sanctus. Tak samo lekcje ze Starego Testamentu, zwłaszcza z Izajasza, Jeremiasza i Malachiasza, z przepowiedniami nadejścia Chrystusa Pana, mogłyby być odczytywane w oryginale hebrajskim i to nie z mszału, lecz ze zwojów synagogalnych. Zamiast dzwonków w czasie mszy możnaby trąbić w róg barani, jak ongiś w świątyni jerozolimskiej i jak dziś w synagogach w Sądny Dzień. Niektóre zwyczaje żydowskie mogłyby być utrzymane, naprzykład odmawiania przez syna modlitwy Kadisz za zmarłych rodziców i zapalanie świecy w dzień rocznicy ich śmierci.

Artykuł w „Tablecie“ wywołał żywe zainteresowanie. Wywołał także i protesty. Np. ks. J. J. W. Murphy, C.S.S.R., w liście do redakcji pisze, że byłoby źle, gdyby rozważania na temat możliwości masowego nawrócenia Żydów w Izraelu przyćmiły w oczach chrześcijan świadomość, iż republika izraelska wyrosła na straszliwym ucisku i gwałcie, dokonanym na niewinnych masach ludności arabskiej, w dużym odsetku chrześcijańskiej.

NA MARGINESIE

REWELACJE AMBASADORA

SENATOR McCarthy w swej namiętnej walce przeciw p. Achesonowi zarzucił Departamentowi Stanu, iż dał dowod popierania komunistów, zalecając przyznanie w 1946 roku pożyczki 90 milionów dolarów warszawskiemu rządowi.

W odpowiedzi na ten zarzut Departament Stanu obecnie stwierdził „iż w tym czasie miano jeszcze nadzieję, że rząd Mikołajczyka będzie mógł być uratowany przed położeniem na nim ręki przez Rosję“.

Do sporu wmieszał się p. Arthur Bliss Lane, ówczesny ambasador Stanów Zjednoczonych w Warszawie. Stwierdził on przed paru dniami, że oświadczenie Departamentu Stanu jest śmiechu warte. Dano pożyczkę „wbrew — jak pisze — moim ostrzeżeniom, gdyż twierdziłem, że przyznanie tego kredytu będzie w Polsce interpretowane jako nasze godzenie się na politykę komunistów w Polsce“. Co zaś do roli p. Mikołajczyka, ambasador ujmuje ją w tych słowach: „Mikołajczyk był wice-premierem z bezradnością człowieka, który jest w całkowitej mniejszości w rządzie, opanowanym przez komunistów.“

Jak widać, przy odpowiednich zabiegach, p. Mikołajczyk swym udziałem w rządzie nie tylko oddał poważną usługę warszawskiemu reżymowi zaciemniając przed Departamentem Stanu prawdziwy stan rzeczy, ale potrafił pokrzyżować politykę ambasadora Bliss Lane'a, wypróbowanego przyjaciela Polski, który wobec przyznania pożyczki podał się do dymisji.

JESZCZE JEDEN

PAN dr Aleksander Rudziński jest bohaterem opowiastki w „N. Y. Herald Tribune“ pt. „The Story of Dr Rudziński“. Pan Aleksander zwierzył się korespondentowi tego pisma, że już we Lwowie, gdy przyszła armia sowiecka, poznał, „co to jest życie pod rządami rosyjskimi“. A na tyle był spostrzegawczy, że jako żołnierz A. K. odrazu zauważył „z jaką wrogością Rosjanie odnosili się do warszawskiego powstania“. Przez dwa lata ten pan „który w Polsce wykładał prawo“, nic nie widzi nienormalnego, bo dostał dobrą posadę radcy prawnego generalnego konsulatu w N. Yorku. Awansuje następnie na radcę prawnego polskiej delegacji przy U. N. i znowu byłby nic nie dojrzał, ale zostaje w końcu 1947 roku nabesztany przez sowieckiego delegata p. Gromykę. Otwierają się juryście oczy. Jak pisze korespondent amerykańskiego pisma „było to dla dra Rudzińskiego pierwszą wskazówką, że Moskwa chce rządzić jego krajem“. Znowu popada w błogie odrętwienie, aż wreszcie w porę przychodzi nominacja Rokossowskiego, która panu Radcy wydaje się „nie do zniesienia“. Z patosem autor zaznacza: „Dr Rudziński w pełni się wówczas przekonał, że jego kraj nie jest wolnym, suwerennym i niepodległym“. Sporo czasu trwają przygotowania, wreszcie nasz bohater wybiera wolność.

Dramatyczne napięcie długiego opowiadania opada, gdy się dowiadujemy, że p. Aleksander ma mieszkanie w ładnej dzielnicy N. Yorku, żonę „Marię Annę“, która „ma dochody w Stanach Zjednoczonych“, że szuka „job'u“ w postaci wykładów na uniwersytecie i „zarobił już trochę pieniędzy odczytami i pisaniem artykułów“.

PRAWDA KOLE W OCZY

NIE można się dziwić, że broszura pt. „Œuropean Unity“, która narobiła tyle hałasu na świecie, musiała napsuć trochę krwi socjalistom Belgii, Francji, Niemiec Włoch. Znajdujemy w niej przykre aluzje godzące wyraźnie w „towarzyszy“ na kontynencie.

„Nas nie stać — piszą brytyjscy socjaliści — by na dziesięciu robotników — jeden pozostawał bezczynnym, jak to ma miejece w Belgii, Niemczech i Włoszech. Nas nie stać, by w wyniku strajków produkcja 22 milionów dni roboczych została stracona, jak to miało miejsce we Francji w roku 1947“.

Trudno również, by mógł podobać się ustęp, w którym brzmi wyraźna nuta wyższości: W każdym razie nasza ludność nie zniosła by rzucającej się w oczy niesprawiedliwości związanych z wolnym rynkiem a prowadzących do tego, że robotnicy żyją w brudach, a patrzą na sklepy pęczniejące od towarów dla nich niedostępnych, przyczem materiały budowlane zużywane są dla wznoszenia wspaniałych willi, budowania luksusowych mieszkań, wtedy, gdy miliony szukają dachu nad głową“. Jest to, jak powiadają Francuzi, rzucanie kamieni do cudzego ogrodu. Cóż, kiedy wszystko to prawda.

X. Y. Z.

Z SALI ODCZYTOWEJ

Dr TERLECKI O JEDNYM Z EGZYSTENCJALISTuW

LUDZIE, interesujący się współczesnymi prądami światopoglądowymi (użycie słowa „filozoficznymi“ byłoby tu przesadą, bo egzystencjalizm systemem filozoficznym raczej nie jest), mieli ostatnio okazję nauczyć się nie mało z odczytu dra Tymona Terleckiego o Gabrielu Marcel'u.

Dr Terlecki na wstępie wspomniał o Kierkegaard'rze (którego nazwisko nie wymawia się „Kiergur“, lecz „Kirkegoor“, z długim „o“ na końcu) oraz o niektórych, lecz nie wszystkich wybitnych egzystencjalistach: pominął np. włoskiego zakonnika, tomistę O. Fabro (a egzystencjalizm we Włoszech ma dużo zwolenników) i programowego katolika, bardzo bliskiego temu ruchowi, Schmidta, autora książki pt. „Asceza organiczna“. Naukę Kierkegaard'a streścił dr Terlecki bardzo ogólnikowo, nie podkreślając jego charakterystycznego podziału na trzy stadia egzystencji ludzkiej: estetyczne (filozofia użycia, dążenie do Piękna), etyczne (realizacja Dobra) i religijne (pełnia realizacji wyznawanej Prawdy). Prelegent nie zaznaczył także, że światopogląd Kierkegaard'a wyrasta z chrześcijaństwa protestanckiego, nie z katolicyzmu.

Dla uniknięcia wszelkich nieporozumień warto tu przypomnieć, że Ojciec św. parokrotnie zabierał głos w sprawie egzystencjalizmu: m. in. przemawiał do Jezuitów, do Dominikanów i w mowie na kongresie filozofów świeckich w Rzymie, bodajże w roku 1947. Oba zakony pouczył Papież, że powinny się trzymać filozofii św. Tomasza i nie mieszać się do niepoważnych nowinek, a filozofów-laików poinformował, że egzystencjalizm jest godny potępienia w obu postaciach — i w tej pogańskiej i w tej pobożnej. Ponadto — dla ustawienia rzeczy w odpowiedniej perspektywie — trzeba zawsze pamiętać, że egzystencjalizm został bardzo zimno przyjęty przez filozofów świeckich z prawdziwego zdarzenia. Nie hołdował mu ani Whitehead, nie hołduje Hartmann, ani Maritain etc. W Ameryce nikt się tym kierunkiem nie przejmuje, a i w Wielkiej Brytanii mało kto o nim słyszy (mówię o intelektualistach). Krótko mówiąc: moda na egzystencjalizm panuje głównie we Francji i we Włoszech oraz peryferyjnie w krajach języka francuskiego.

Nie znaczy to, że egzystencjalizm nie przedstawia żadnej wartości. Zresztą oficjalnie „ex cathedra“ nie został przez Stolicę świętą zaliczony do prądów heretyckich (mam na myśli odnogę chrześcijańską) i nie można wątpić, że główny, żyjący teoretyk tego kierunku — Gabriel Marcel — jest szczerym i wierzącym katolikiem. Jeśli chodzi o zaliczenie przez dra Terleckiego do egzystencjalistów także zmarłego niedawno Mounier'a, to miałbym poważne wątpliwości, choć niewątpliwie Mounier prądem tym się interesował, skoro napisał i ogłosił w roku 1946 w swym czasopiśmie „Esprit“ obszerny „Wstęp do egzystencjalizmu“.

Prelegent bardzo słusznie podkreślił pierwszeństwo nie reklamującego się i dość mało znanego szerokiej publiczności Marcel'a w sformułowaniu — nie doktryny, a raczej tez egzystencjalizmu. Datą rozstrzygającą jest tu rok 1927, gdy ukazał się „Dziennik metafizyczny“ Marcel'a, nota bene równocześnie z książką nazistowskiego przedstawiciela pogańskiego egzystencjalizmu Martina Heideggera „Sein und Zeit“. Cała działalność Sartre'a rozwinęła się znacznie później — jak wiadomo już po drugiej wojnie światowej. Rzecz charakterystyczna, że podobnie jak Sartre Marcel jest dramaturgiem i swe utwory dramatyczne uczynił czymś w rodzaju instrumentu poznawczego i terenem — bodaj głównym — swych wypowiedzi światopoglądowych. Cała twórczość tego pisarza ma dwoisty charakter: przeżycia artystycznego i poszukiwań filozoficznych. Twórczość dramatyczną i filozoficzną uważa Marcel za dwa stoki tego samego wzniesienia, prowadzące do jednego szczytu, przy czym jest także muzykiem i utwory sceniczne komponuje muzycznie. Utwory filozofujące (może tak byłoby trafniej, niż „filozoficzne“) Marcel'a noszą charakter esseistyczny, osobisty, zapiskowy. Jak powiedział dr Terlecki, Marcel ma odrazę do systemów filozoficznych. Dodam, że na dnie tej odrazy — wspólnej wszystkim egzystencjalistom obu kierunków (o ile są tylko dwa — raczej jest ich tyle, ilu pisarzy piszących na ten temat) tkwi krańcowy irracjonalizm i związana z nim n i e z d o l n o ś ć stworzenia zwartego systemu.

Bardzo ładnie przedstawił prelegent istotne i wartościowe osiągnięcia Marcel'a z dziedziny psychologii, co nie było łatwe z uwagi na specyficzną terminologię i niejaką zawiłość formułowania myśli przez tego autora. Introspekcję np. nazywa on „chwytaniem najgłębszej naszej wewnętrzności“, co jest sposobem otwierania sobie dostępu do innych ludzi. Rzecz charakterystyczna, że przed nawróceniem (Marcel ochrzcił się w wieku 40 lat) poczucie osamotnienia pisarza było prawie zupełne: postacie jego wcześniejszych dramatów dążą rozpaczliwie do porozumienia z bliźnimi, lecz prawie zawsze ponoszą klęski. Po chrzcie Marcel doszedł do przekonania, że mur oddzielający od siebie ludzi nie jest absolutny: „istnieje wspólnota grzeszników“.

Tu dochodzimy do najistotniejszego bodaj punktu rozważań Marcela z pogranicza filozofii i psychologii. Myśliciel ten przeprowadza analogię pomiędzy stosunkiem człowieka do innych ludzi i stosunkiem człowieka do własnego ciała. „Zespalam się z sobą samym, o ile komunikuję się z innymi“. Człowiek powinien dążyć do tego, aby własne ciało nie było dla niego czymś obcym, powinien też starać się i stara się rzeczywiście o zespolenie z innymi. W tych punktach Marcel bardzo różni się od Sartre'a, który wyraził się, że „piekło — to inni“.

W swym dziele „Etre et avoir“ formułuje Marcel ideologię wierności wobec siebie, wobec innych, wobec świata i Boga. Szczegółowa analiza tych pojęć jest — zdaniem T. Terleckiego — jednym z arcydzieł światowych poezji i filozofii zarazem. Silne podkreślenie osobistego charakteru stosunków międzyludzkich i stosunku człowieka do Boga jako do „Toi Absolue“ należy do silnych punktów rozważań Marcel'a. Byt określa on (dość ogólnikowo, ale poetycznie) jako wspólnotę z samym sobą, ze światem, z życiem i z Bogiem. Wymaga „obecności“, udziału człowieka w życiu, współtwórczości przez przyświadczanie bytowi. Ta „obecność“ (présence) jest aktem dramatycznym. Zdaniem Sartre'a „świat jest kurzawą nonsensu“ — Marcel uważa go za niedoskonały, nie dający zaspokojenia człowiekowi, ale nie zapomina, że poza nim istnieją wartości bezwzględne. Te wartości ujmuje pisarz francuski jako tajemnice, bez których życie byłoby nie do zniesienia. W dziedzinie poznania poszukuje Marcel drogi pośredniej pomiędzy subiektywizmem i obiektywizmem. Ta część jego rozważań — tylko zlekka naszkicowana przez prelegenta — wydaje się dość mglista. Trochę nieprzekonywująco brzmiały nadzieje dra Terleckiego na oparcie teorii kultury na „filozofii“ Marcela i twierdzenie, jakoby egzystencjalizm był najżywszym prądem przeciwstawiającym się złowrogiemu dziedzictwu Hegla. Jest to złudzenie zrodzone z piany wyrzuconej na powierzchnię życia filozoficznego przez krzykliwych Sartrystów: przejściowej mody (z której może zostanie to i owo). Idealizmowi Hegla w pełni przeciwstawić się może tylko system realizmu i objektywizmu, a to nie jest, jak wiemy, aura egzystencjalizmu.

Co się tyczy twórczości literackiej Marcela (który wydał ponad 20 sztuk dramatycznych, nie licząc dzieł „filozoficznych“), dr Terlecki nie chciał, czy nie mógł wydać stanowczego sądu o jej wartości. Powiedział tylko, że dramaty te są ascetyczne, pozbawione wszelkiej kokieterii.

W dyskusji prof. Folkierski opowiedział m. in. o wygłoszonym niedawno w Londynie odczycie Marcela, który przyznaje się jawnie do czynnego katolicyzmu. Twierdzi ponadto, że jest przede wszystkim muzykiem, potem dramaturgiem, a pisma filozoficzne traktuje zupełnie dodatkowo, na trzecim planie. P. Zdzisław Broncel przypomniał jądro teorii Sartre'a, używając przy tym uporczywie terminu e g z y s t e n c j o n a l i z m, zupełnie nieprawidłowego, gdyż wyraz e x i s t e n t i a w drugim przypadku brzmi e x i s t e n t i a e, a nie e x i s t e n t i o n i s i przedłużanie tego i tak długiego słowa nie ma żadnego uzasadnienia filologicznego.

Na zakończenie przypominam Czytelnikom, że w roku 1947, w pierwszych numerach ŻYCIA ukazało się kilka źródłowych artykułów O. I. M. Bocheńskiego i Michała Poradowskiego o egzystencjalizmie.

St. Pał.

Z A P I S K I L O N D Y Ń S K I E

Brytyjskie wydarzenia kulturalne ostatniego okresu

O G.K. CHESTERTONIE

Z okazji ukazania się nowego wyboru essayów G.K. Chestertona, dokonanego przez Dorothy Collins (o pojawieniu się tego zbioru niedawno donosiliśmy), „Times Literary Supplement“ zamieścił dłuższą interesującą charakterystykę wielkiego pisarza.

Autor stwierdza w zakończeniu, że w czasach, gdy Chesterton tworzył, było rzeczą słuszną i konieczną wyszydzanie i krytykowanie plutokracji, przeżywającej na Park Lane apogeum swych wpływów. Czynili to właśnie Chesterton i Belloc. Dzisiaj młody człowiek, czytający ich gwałtowne inwektywy, może nie zdawać sobie sprawy do jakiego stopnia społeczeństwo brytyjskie uległo przekształceniu w tym zakresie. Jest to może główna dziedzina, w której niektóre okolicznościowe artykuły czy szkice Chestertona, uległy przedawnieniu. Z drugiej strony wzmocnioną jeszcze aktualnością odznaczają się dzisiaj jego ataki na zbyt daleko idący interwencjonizm państwowy. Chesterton „widział i ustawicznie przedstawiał bezpośrednie pochodzenie socjalizmu od kapitalizmu jako systemów materialistycznych, które muszą degradować ludzi, choć pomagają im materialnie“.

„Godność człowieka jako człowieka — czytamy dalej — nigdy nie miała orędownika bardziej wymownego. Mieściło się to jednak w ramach jeszcze większych — ramach religii. Chesterton postanowił głosić wobec swych rodaków obowiązek brania rzeczy z wdzięcznością, a nie uważania ich za coś z góry należnego. Nie chciał w żadnym wypadku być uważany za orędownika „szarego człowieka“ tylko z powodu owej „szarości“, — choć z drugiej strony wynikiem odkrycia takiego bogactwa w każdym człowieku było zmniejszenie się poczucia różnicy i wywołanie wrażenia, że jakość jest wartością mniej ważną. Co jednak Chesterton naprawdę myślał o jakości, ukazuje się jasno we wszystkim, co pisał o poszczególnych poetach, powieściopisarzach czy artystach, toteż nie można go uważać za obrońcę „ilości“ przeciw „jakości“ tylko dlatego, że doszukał się w człowieku jako takim wartości transcedentalnych“.

WALIJCZYCY JAKO SPOŁECZEŃSTWO CHŁOPSKIE

Historyk walijski David Williams ogłosił świeżo historię swego kraju od średnich wieków po dzień dzisiejszy (*„A History of Modern Wales*“, Murray, cena 12s 6d) .

W książce swej opisuje, w jaki sposób Walijczycy, choć związani z Anglią od tylu wieków, zdołali zachować swą kulturalną i szczepową odrębność. Za jedną z głównych przyczyn tego uważa on ostanie się samodzielnej warstwy chłopskiej. Warstwa ta w większej części Anglii uległa likwidacji, natomiast rozwój społeczny Walii i Irlandii poszedł po linii stosunków kontynentalnych i chłopi zwyciężyli w zmaganiach z innymi czynnikami społecznymi. Również wpływ reformacji i purytanizmu był w Walii słabszy niż w Anglii.

TRZECI TOM PAMIĘTNIKÓW CHURCHILLA

Firma Cassel wypuszcza na rynek księgarski w dniu 20 lipca trzeci tom pamiętników Winstona Churchilla. Tom ten obejmuje rok 1941 — od zwycięstwa w pustyni poprzez klęski w Grecji i na Krecie oraz atak niemiecki na Rosję, aż po Pearl Harbour.

Churchill napisał nadto przedmowę do książki „Our Greatest Harvest“, zawierającej przemówienia Johna Winanta, ambasadora Stanów Zjednoczonych w Londynie, z okresu od r. 1941 do 1946.

FOTOGRAF KRÓLEWSKI W BBC

Przyboczny fotograf Króla Jerzego VI, Graham Thompson, który w ciągu ostatnich sześciu lat dokonał zdjęć filmowych wszystkich wydarzeń, związanych z rodziną Królewską, opuścił Buckhingham Palace i wstąpił jako pracownik do działu telewizyjnego B.B.C. Odbyło się to za zgodą Króla i, jak podkreślają dzienniki, oznacza to, że w przyszłości rodzina Królewska uwzględniana będzie jeszcze częściej w obsłudze telewizyjnej i informacyjnej B.B.C.

NAJTAŃSZY APARAT TELEWIZYJNY

Na rynku w Wielkiej Brytanii pojawił się aparat telewizyjny, którego cena wynosi 39 gwinei łącznie z podatkiem. Jest to najtańszy jak dotąd, aparat telewizyjny. Opatrzony jest nowym wynalazkiem w postaci tzw. „czarnego ekranu“, który usuwa migotanie i umożliwia używanie aparatu przy pełnym świetle dziennym lub przy świetle sztucznym.

NOWA SZTUKA SHAWA

Utwór sceniczny G. B. Shawa „Buoyant Billions“ („Pływające biliony“), który grany był w r. ub. na festiwalu w Malvern, ukazał się obecnie drukiem w luksusowym wydaniu, z rysunkami Clare Winsten. Egzemplarz kosztuje 6 gwinei. W swym przedsłowiu (nazwanym „Prefacette“) Shaw stwierdza, że „póki żyje, musi pisać“. I dodaje: „Jeśli przestanę pisać, umrę“.

W chwili skreślenia tego przedsłowia Shaw miał 92 lata — dziś liczy ich 94. Jego sztuka jest dość błaha i w dialogach swych zawiera wiele powtórzeń z dawniejszych utworów Shawa, niemniej zdaniem krytyka „Times Literary Supplement“ Shaw potrafi dziś jeszcze tworzyć sztuki lepsze niż wielu początkujących dramaturgów londyńskiego West Endu.

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: Veritas Foundation Publication Centre. Adres redakcji i Administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12 Praed Mews, London W 2. Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia: PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17 — z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja żadnych rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. Prenumerata płatna jest z góry i wynosi: miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty przekazywać należy Postal lub Money orderami, względnie czekami bankowymi „crossed“, wystawionymi na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam £ 1; w tekście 50% drożej, na stronie tytułowej 100% drożej. Prenumerata zagraniczna: SZWECJA: miesięcznie 3.50 kr., kwartalnie 10.00 kr. Przedstawiciel: Mgr. Bożysław KUROWSKI. Anggatan 6 c, Lund, Sverige, Sweden. NIEMCY: miesięcznie 2.50 DM. kwartalnie 7.00 DM. ARGENTYNA: kwartalnie 12 peso półrocznie 24 peso. Przedstawiciel: J. MIECZNIKOWSKI & T. DĄBROWSKI Składnica Książki Polskiej. Av. Leandro N. Alem 641, Buenos Aires. SZWAJCARIA: kwartalnie 3.50 frs. Przedstawicielstwo: P K S U VERITAS, Section Suisse, Case Postale 19, Fribourg 2.

Printed by: „Veritas Foundation Press“ 12, Praed Mews, London W. 2. Tel. PAD. 9734.